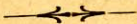


W MIESZCZANSKIEM GNIĘDZIE.

WANDA GROT-BĘCZKOWSKA.



W mieszczańskim gnieździe

POWIEŚĆ.

TOM I.

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“

Druk J. Sikorskiego, Wawelska 14.

1899

BIBL. GŁÓWNA

71620/1-2
klocele

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 9 Июня 1899 года.



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



F U W 0 3 6 8 2 2 2

339264

101-

7/34/2012 p

~~K 168 / 16 / 71620~~
P

I.

— Ja kazałam beczkę postawić na wodę deszczową i psie prawo było sąsiadom ruszać...—krzyczała pani Sadzikiewiczowa, właścicielka trzypiętrowej kamienicy i składu wędlin, najokazalszego w Bąkach.

— Nikt od nas nie brał wody, proszę pani—tłómaczyła się grzecznie Kazia Jaworzewska, ładna, młoda dziewczyna o bujnym, czarnym warkoczu i oczach inteligentnych.

— Zapewne!—wtrąciła, zacinając wargi, panna Jadwiga Sadzikiewiczówna.—Wiadomo, że woda deszczowa na piegi dobrze robi.

— Jeżeli kto je posiada...—odcięła, uśmiechając się, Kazia.

— Ojciec słyszy?—zawołała obrażona Jadwiga.—Piegi mi przymawiał! Miłe sąsiedztwo, nawet wodę w zębach trzymać trzeba.

— Co się tu dzieje?—spytał nadchodzący Jaworzewski, którego sklep korzenny sąsiedował ze skle-

pem Sadzikiewicza. — Kokosza wojna, czy co? Dalibóg, sąsiedzie—zwrócił się do Sadzikiewicza—niepięknie ci między spódnicami.

Sadzikiewicz zaczerwienił się.

— Kogo jak kogo, ale pana to się zawsze kiepskie żarty trzymają—rzekł.

Jaworzewski się roześmiał.

— Niech będą i kiepskie, byle żarty! O lada głupstwo krew sobie mam pęuć?

Spojrzał na córkę.

— Kazia, do domu!—rzekł do niej. — To nie do ciebie należy o wodę się swarzyć.

— Szłam właśnie z piwnicy, proszę ojca, kiedy mnie państwo zaczepili—odparła.—Powiem tylko ojczusiowi, że od nas nikt ani kropelki wody z beczki p. Sadzikiewiczowej nie ruszył.

— Kłamstwo!—krzyknęła, odzyskując głos, Sadzikiewiczowa.—Braliście!

— To tak jest zawsze, proszę ojca—zapewniała rozplamiona Jadwiga. — Niechno się kwiatek jaki z ogrodu naszego przewinie, niech owoc spadnie, niczego nie uszanują i biorą, jak swoje. Czy to nie wstyd? Żydyby tego nie zrobił!

Jaworzewski poczerwieniał.

— Niechno pani tak dużo nie gada — rzekł, ledwo się hamując. — Kawaler jaki mógłby posłyszeć i zląkłby się takiego huzara w spódnicy. Moje dzieci nauczone od małości cudzego nie ruszać! Ja jestem człowiek prosty i nie mam szczęścia serdelkami handlować, ale na honorze się znam i krzywdy swoim uczynić nie pozwolę. Krzyki, awantury o byle z prze-

prośzeniem ziarnko piasku, czy wody kropelką! Tak i przekupki potrafią.

— Mężu!—jęknęła Sadzikiewiczowa. — I ty pozwalasz?

— Ojciec z zimną krwią słucha, jak godność naszą poniewierają—odezwała się imponująco najstarsza p. Sabina.

— Ojciec pozwoli honor nasz szarpać? — krzyknęła z wyrzutem panna Jadwiga.

Sadzikiewicz patrzył kolejno to na jedną, to na drugą, zrobił parę kroków naprzód, parę w tył i, podnosząc rękę, huknął z pełnej piersi:

— Pilnuj sąsiad języka, bo dalibóg!..

Jaworzewski stał już przy nim blisko, tak blisko, że po lewej stronie kamizelki p. Sadzikiewicza poczęło się coś trzepotać.

Wzrokiem surowym Jaworzewskiego zamagnetyzowany, z nogi na nogę przestępował, coraz mniej wyraźnie bełkocąc:

— Pilnuj sąsiad języka, bo... bo...

I byłyby ta kłótnia sąsiedzka trwała. Bóg wie, jak długo, gdyby na podwórku nie zjawiała się nowa figura.

— Pan Dyrdyński, kochany p. Kleofas!

— Kochanych państwa, zacnych dobrodziejów! —kłaniał się przybyły, mały, szczupły człowieczek z żółtymi wąsami sterzącymi do góry, z ruchliwą, pomiętą twarzą, którą ożywiały chytne, żółtawe źrenice, biegające ustawicznie w około, jak gdyby czegoś szukały.

— Dyrdyński węży...—mówiono o nim, gdy się

ukazał na rynku w Bąkach i, zmrużywszy oczy, przeglądał bryczki, powozy, ba! nawet wózki chłopskie, zaczął przechodniów i czy znał, czy nie znał, usługi swoje ofiarowywał każdemu.

Sadzikiewicz bardzo go cenił, Sadzikiewiczowa i panny obdarzały wdzięcznymi uśmiechami. Dyrdyński—jak to sam twierdził przy każdej sposobności — stosunki miał ogromne i уваżanie w okolicy, nie mówiąc już o Bąkach, gdzie — znów według jego zdania — na rękach go noszono.

Więc też i dziś p. Sadzikiewiczowa przywitała go podaniem pulchnej czerwonej ręki, panny słodkimi spojrzeniami, Sadzikiewicz uściskiem szerokiej prawicy.

Dyrdyński uśmiechniony, rozradowany całował ręce, ścisnął dłonie, giął się w ukłonach.

— Witam, witam! Szacunek, szacuneczek pokorny pani dobrodziejce. Paniąkom pod stopki się ścielę. A! I pan Jaworzewski tutaj? I piękna p. Kazimiera? Ślicznie! Cudownie! W miłej sąsiedzkiej zgodzie to się i na podwórku pogawędkę rozwinię. Bodajto harmonia! Harmonia dusz, serc, rozumu, panie dobrodzieju i—i kieszeni — dodał — rad ze swego pseudo dowcipu, mrugając jednym okiem na prawo, drugim na lewo.

Jaworzewski ramionami wzruszył; snadź mu ta figura nie do smaku była, bo machnął ręką i odszedł, rad, że się podwórzowa scena ku ucieście gapiów przerwała.

Kazia pobiegła do ogródka.

Przy sztachetkach stała właśnie Krystyna Sa-

dzikiewiczówna, z rozkwitłego bzu i nareczów wiążąc bukiety.

Spojrzały na siebie porozumiewawczo.

Mimo niechęci, jaką rodzina Sadzikiewicza do Jaworzewskich żywiła, Krysia z Kazią kochały się oddawna, jak siostry. Przywiązanie to jeszcze z pensyonarskich czasów się datowało i trwało wciąż mimo najnieprzyjaźniejszych wpływów.

— Cóż, nie zjadła cię Jadwiga?—spytała smutno Krystyna. — Tak krzyczała, aż się rozlegało po całym podwórzu.

— Przywykłam już do tych napaści — odparła Kazia.—Pojąć nie mogę, czego twoje siostry chcą ode mnie.

— Ba!—roześmiała się Krystyna.—Przejrzyjno się w zwierciadle.

Kazia oblała się rumieńcem.

— Nie żartuj! Dyrdyński stary przyszedł, więc się awantura prędko skończyła. O jakże ja tego działa nie cierpię!

Krystyna przysunęła się do przyjaciółki

— Wiesz, co ci powiem? Dyrdyński swata Sabinę jakiegoś obywatelowi.

— Co ty mówisz?

— Jak cię kocham! Jutro ma go przyprowadzić do nas, aby Sabcię obejrzał.

— Jakto? Tak odrazu, na umówionego?

— Właśnie! Moja Kaziu, powiedz sama, do czego to podobne?

— Ale i on też!...—dziwiła się Kazia. — Cóż to za jeden?

— Wcale przystojny. Widziałam fotografię.

— Czego tam marudzisz, Kryśka! — zawołała z okna Jadwiga.—Lukier do babek nie zrobiony.

Krystyna podjęła z ławki bukiety.

— Będzie to sądny dzień jutro u nas — rzekła. Nie wiem nawet, czy na sumę wydadzą.

Spuściła oczy na kwiaty.

— Kaziu!...—szepnęła — zważaj, czy Kozuchowicz po sumie Gargulewskiej towarzyszyć będzie. Coś mi się zdaje, że oni się mają ku sobie...

— To ci się tylko zdaje... — zaprzeczyła Kazia i zaraz dodała figlarnie:

— Kozuchowicz wcale gdzieindziej stęskniony wzrok obraca. Gargulewska go łapie, ale żeby mu się podobać miała, to już nieprawda!

Kryśka rzuciła jej się na szyję.

— Być może!...—mówiła ucieszona i byłaby o p. Kozuchowiczu rozprawiała w najlepsze, gdyby syczący głos Jadwigi nie odwołał jej powtórnie.

Kazia została sama.

Stońce przypiekało mocno, lecz, że rankiem spadł deszcz ulewny, krople stały jeszcze na kwiatkach i liściach.

Dziewczyna między grządy młodej sałaty przysiała, by zielsko niepotrzebne wypłenić.

Tuż obok rozpościerał się ogród Sadzikiewiczów, z altanką winem obrosłą, w której żywa obecnie toczyła się rozmowa.

— Kochany panie Sadzikiewicz — mówił głos jakiś, którego na razie Kazia nie poznała — miejże pan rozum... Taki obywatel wysoko urodzony...

— Obywatel, bo się bez wszystkiego obywa — zaśmiał się Sadzikiewicz.—Tylko, że urodzony wyśoko, to ważny *corpus delictus* jest. Mówiłem ci już, panie Dyrdyński, że córki moje za byle kogo nie wyjdą. Edukowałem je kosztownie, nie wymawiając...

— Co tam o tem wspominać! — przerwał Dyrdyński.—Grosz jest, to grunt! Powiedzno pan, ile za córką najstarszą dajesz? Nie uchybiając, panienska niezbyt młoda i—niech się ojcowskie serce pańskie nie obrazi—urody trochę przyskapo. Trzebaby oprawę piękną dać..

— Przeznaczyłem dla każdego korpusa po sześć tysięcy rubli — odezwał się po namyśle Sadzikiewicz.—Jak na te czasy..

— To zero jest...—dokończył Dyrdyński.

— Któżby chciał sprzedać się za marne 6,000. To nie interes, panie kochany!

Sadzikiewicz aż się z ławki poderwał.

— Co? Mało jeszcze? Bój się pan Bogal

— Właśnie, że się boję Boga, nie chcę klientów moich krzywdzić.

Zapanowało milczenie.

Kazia, zapomniawszy o sałacie, słuchała zdziwiona.

— Że to niby Sabcia korpus najstarszy jest — zaczął po chwili Sadzikiewicz—możebym i co postąpił... Ale...

— Namysł się pan odrazu — przerwał Dyrdyński.—Ja się nie mogę na kpa wystawiać. Obywatel, papiery rodowe z pieczęciami ma... Co pan chcesz? Może się z milionową panną ożenić.

— Dam 8,000—zadecydował wreszcie Sadzikiewicz.—Ale te drugie jeno po 6,000 dostaną. Co to, panie kochający, wychować, wypielegnować...

— Jeszcze zapłać komu, żeby to wziął z domu... —zaśmiał się Dyrdyński. — Z tem wszystkiem ja i z ósmioma do interesu się nie wezmę. Mój klient myśli o 50000 co najmniej.

— Sabcia przecie i po matce chrzestnej majątek ma zapisany...

— Także pan gadaj!—ucieszył się faktor.—He? Tylko prawdę. Tu się na nic blagowanie nie przyda.

— Uważa pan, kamienica na przedmieściu jest trzypiętrowa, z oficynami, z ogrodem...

— Gdzie?

— W Bykach. W miasteczku Bykach, kochający panie! Tam czcigodny ów korpus mieszka. I gotówka jest... Musi być! Imość ze skąpstwa znana. Cóżby z pieniędzmi robiła i że to na najpierwsze potrzeby sobie żałuje.

Zaczęli cicho szeptać, poczem Dyrdyński rzekł głośno, pieczętując umowę uderzeniem dłoni w dłoń Sadzikiewicza.

— Jutro tedy rekomenduję państwu mojego klienta. Phi, splendor dla domu nie byle jaki! Ale pierwej pan kochany rewersik mi napisze. Przysłowie mądre powiada: Kochajmy się jak bracia... Każdy z nas śmiertelny!

Wyjął zabrudzony notes z kieszeni i ołówek.

— Panu Kleofasowi Dyrdyńskiemu — czytał głośno, pisząc—obowiązuję się wypłacić w dzień słu-

bu córki mojej Sabiny z panem Sewerynem Pistula-Pistulińskim rubli pięćset...

— Co, co? — krzyknął Sadzikiewicz, zrywając się z ławki.— 500 rubli? Miejsze pan sumienie, p. Dyrdyński! A to ci zaśpiewał!

Dyrdyński wzruszył ramionami.

— Co się pan tak dziwisz? Kawaler z przydomkiem, herbem, dziedzie Pistulina z przyległościami..

— Simesz pan mówił, że długów więcej, niż czego...

— A mówilem, bom człek uczciwy i godziwie jeno interesy prowadzę. Tak też i tu. Rzekłem panu wręcz: Pan masz córkę i grosze, a tamten wysoko się rodził, choć goły, i genealogią ma na papierze prostą jak drut.. Hrabio wie, książęta, koligaci— ot, co jest...

Sadzikiewicz się wahał.

— Weź pan 300 rubli — prosił. — Sam o tem wiem, że najstarszy korpus najdroższy jest, ale...

— A widzisz pan—przerwał Dyrdyński, mrugając przebiegle okiem. Żeby to chociaż „delictus“ był, no... Po ojcowsku nawet kwestyę biorąc, sam pan mówisz, że tam niedobory rozmaite są...

Targowali się, sprzeciali, wreszcie umowa podpisana została.

Kazia, mimowolny świadek tych układów, o ile z początku śmiech tłumiała, o tyle później posmutniała.

— Ach, jakie to wstrętne!—wyszeptwała oburzona.—Biedna Sabina!

Zadzwoniono na Anioł Pański u Fary.

— Co, już południe? — zdziwiła się Kazia i dalejże zielsko wyplenione ze ścieżki odrzucać, obrównywać grzędy. Wyrwała potem trochę różowej dla ojca rzodkiewki i do domu pobiegła.

II.

Była to wigilia Zielonych Świątek i ruch w mieście niemały.

Przed sklepem Sadzikiewicza i sąsiadującego z tymże po stronie lewej Arona Fiszla zatrzymują się bryczki i powozy.

U Jaworzewskiego pusto. On sam stoi w oknie zadumany, i gdy od Fiszla wynoszą chłopey sklepowi głowy cukru, bakalie, kosze z winem i t. p., Jaworzewski wzdycha i oblicza w myśli, ile go kosztowało sprowadzenie świeżego towaru na zbliżające się święta i jak wszelkie rachuby zawiodły.

— Dalibóg, Tereniu — zwrócił się do siedzącej za kontuarem żony — pustki w naszym sklepie; to Sadzikiewicza sprawa. On Fiszla rekomenduje, Fiszla chwali. Taki sąsiad gorszy od wroga. Jak myślisz, Tereniu?

— Myślę, że cię żalność zbyt podejrzliwym czyni — odparła. — Sadzikiewicz gorączka, ale po co by nam miał szkodzić?

— Pocom ja tyle towaru sprowadził — ozwał się po chwili ciężkiego dla obojga milczenia, zbliżając się znów do okna, Jaworzewski. — O, o! Patrz tylko, żono... I z Rupniewa karetą przed Fiszlem stoi, i z Wilkoszewa... Nic innego, tylko Sadzikiewicz buty mi szyje. Niemal pewno lampek wina z Fiszlem wyciągnął.

Jaworzewska złożyła robotę. Na pogodną zwykłe jej twarz padł cień smutku i zniechęcenia.

— Wagę dajemy uczciwą — rzekła, jakby myślom swoim odpowiadając — towar w dobrym gatunku, dla kupujących, choćby dusza płakała, zawsze się uśmiech wesoly i słówko uprzejme znajdzie... Więc nie pojmuję czemu omijają nas, jak za powietrzonych, i do żyda idą?... A tu komorne na karku i — wiadoma rzecz — Sadzikiewicz nie poczeka, choćby mógł...

Podeszła do okna.

Spojrzawszy na twarz smutną męża, wnet swoją w wesoly uśmiech przybrała.

— Słuchajno, stary! — rzekła — nie należy nigdy rąk opuszczać. Trudno z urzędnika odrazu się stać sprytnym kupcem. Inaczej trzeba radzić. Właśnie mówiła mi Kazia, że marzy tylko o tem, żeby nauczyć się buchalteryi, obznajmić z handlem i samej w sklepie stanąć. Niechby spróbowała, możeby poszło inaczej. My, albo szczęścia nie mamy, albo nie potrafimy. Cóż robić!

— Co? Kazia do sklepu? Kazia? Jeszcze czego! Dziwno mi, Tereniu, że mi te głupstwa powtarzasz.

— A cóż ty w tem złego widzisz? Dziewczyna

sprytna, pensję skończyła i w domu siedzieć ma bezczynnie? Posagu niema, to i męża trudno będzie znaleźć... Niech o sobie myśli.

— Ale bo widzisz — mięknąc już ozwał się Jaworzewski — Kazia w sklepie to jakoś nie tego... Ten i ów przyjdzie niby coś kupić, a tymczasem chce mu się tylko dziewczynę gładką zobaczyć, albo i co gorszego!

Jaworzewska uśmiechnęła się.

— E! Już ja tam o Kazię jestem spokojna. Pracować musi, a w każdym fachu coś nieprzyjemnego się znajdzie. Na to trudno uważać.

Oparła rękę na ramieniu męża i, patrząc mu w oczy, dodała:

— Kazia chce rychło do Warszawy jechać..

— O, o! Już jakieś konszachty, jakieś projekty, licho wie co... — oburzył się Jaworzewski. — A matka na wszystko gotowa pozwolić.. Do Warszawy! Proszę ja kogo i cóż to jej z tej Warszawy przyjdzie...

— Nauczy się tego, co w jej fachu będzie potrzebne — łagodnie odparła Jaworzewska. — My, starzy, mój Ludwiczku, to się bardzo na tem nie rozumiemy, ale młodzi, widzisz, torują sobie nowe drogi. Tego im bronić nie wolno. Prawda, kochasiu?

Jaworzewski się zamyślił i, chociaż przed sklepem Fiszla zatrzymywały się coraz to inne pojazdy i uwijały się służki z koszykami, on już tego nie widział i nie zazdrościł, pochłonięty myślą jedną: Kazia chce odjechać, Kazia chce pracować w sklepie.. Inną

przyszłość dla niej roił... Z czworga dzieci, któremi go Bóg obdarzył, Kazię kochał najwięcej.

III.

Nazajutrz wstał dzień jasny, pogodny. W miasteczku cisza. Sklepy pozamykane, na rynku ani jednego stragana ani furmanki nie widać.

Bąki lśnią w słońcu. Kamienice, szeregami w rynku stojące, wszystkie świeżo pomalowano; okna błyszczą, jak zwierciadła.

I w kamienicy Sadzikiewiczów panuje nastrój odświętny.

Czynią się tam przygotowania do przyjęcia wysoko urodzonego konkurenta.

Sadzikiewicz siedzi przy śniadaniu, dzwoniąc niecierpliwie łyżeczką w pustą już szklankę.

Na stole przykrytym ceratą stoi koszyk z chlebem i bułkami.

Nie widać pięknych, lekkich jak piórko babek i placków z posypką, które dla gościa p. Sadzikiewiczowa upiekła.

Wprowadza to w melancholijny nastrój przepadającego za słodkim ciastem Sadzikiewicza. Czarne, jakby zaspane oczy, okrażone czerwonymi obwód-

kami, zatrzymują się, wyrzutem brzemienne, na twarzy małżonki, przyrządzającej farsz do indyka.

— Cóż, Brygisiu?—odzywa się wreszcie—babki wyrosły? Nawet na sprobowanie nie pokazałaś nikomu.

— I bez próby wiem, że zdarzone—odparła nachmurzona czegoś Sdzikiewiczowa.

— Bójże się Boga, kochasiu, zkądże takowa pewność? Może zakalec w środku jest, albo co... Z okazji dnia dzisiejszego można by pokosztować...

— Skosztujesz przy gościach. Tylko mój Adamie, zapowiadam ci, abyś łapczywie nie jadł. To tak wygląda, jak gdybyś nigdy nie lepszego nie jadał.

— Bo i prawda! Smaczne kąski jeno dla gości chowasz.

Na to weszła panna Sabina.

— Chciałam pomówić z rodzicami — ozwała się zwykłym, szorstkim tonem. — Przy p. Pistulińskim musi ojciec na siebie uważać.

— To jest jak, kochasiu, bo nie rozumiem.

— Dlatego właśnie, że ojciec wielu rzeczy nie rozumie, nie trzeba się odzywać. P. Pistula-Pistuliński w towarzystwach porządnym bywa i wykształcony, niechże ojciec pamięta, że cała przyszłość moja zależy od tego, abyśmy mu się jak najlepiej przedstawili.

— Wiem, wiem, rozumiem, kochasiu! Corpus delictus wysoko urodzony jest, obywatel. .

— I z tym korpusem niech ojciec nie wyjeżdża... Sensu niema.

Sdzikiewicz spojrział na córkę obrażony.

— Eh pleciesz!—mruknął. — Babom się zawsze zdaje, że wszystko wiedzą. Sensu niema! Proszę ja kogo! A wieszże ty, ja to od samego sędziego slyszalem. Rozumiesz? Jakem był za świadka w tej sprawie co to sądzili Marcińskiego o pobicie z Otalińskim, pamiętasz? Sędzia, kiedy się Marciński zapierał, pokazał mu guza nad okiem u Otalińskiego i mówi: „Patrz, corpus delictus jest“... A skoro tak sędzia powiedział, widać, że jest i mądrze i dobrze i nie takim jak ty, kochasiu, korpusy takie poprawiać.

— Mówno spokojnie, mężu, i nie wydziwiaj, bo Sabcia ma rację—odezwała się protekcyjnalnie Sdzikiewiczowa. — Lubisz dużo gadać, wiadomo, a tu przy takim familiancie, jak ten pan, trzeba baczenie ciągle na gębę mieć, żeby czego niepotrzebnego nie splotła.

Sabina oczy wzniosła do góry.

— Jestem pewna, że p. Pistuliński ucieknie od nas, gdzie pieprz rośnie — rzekła, wybuchając gniewem.—Po co ja się ludzę? Czyżby człowiek tak wysoko urodzony chciał wejść w rodzinę, gdzie nawet mówić nie umieją?

Przysłoniła oczy chustką.

Sdzikiewiczową uraziły jej słowa.

— Ty, bo zaraz i w całym dziurę znajdziesz. Cóżem tak wielkiego powiedziała? Tylkoś się tak nauczyła rodziców strofować.

— Tu o moją przyszłość chodzi — załkała Sabina.

— A no, więc cóż chcesz? — rzekł obrażony również Sdzikiewicz. — Dyrdyński rewers na 500 rb.

kazał sobie wystawić i posag większy wytargował z krzywdą innych dzieci...

Sabina wciąż łkała za chusteczką.

— Nie płacz! — wtrąciła matka. — Znów sobie farbę pod oczami zmażesz, jak zesłej niedzieli. Ot, wyglądasz dziś doskonale w tej sukni; niktby ci więcej nad 20 lat nie dał.

Sabina odjęła chustkę od twarzy.

— Taak? — mówi. — A ja Marczewskiej awanturę zrobić chciałam, że się stanik marszczy!

— Gdzie zaś! Figurę masz, jak ulaną.

Sadzikiewicz z dobrodusznym uśmiechem obejrzał córkę.

— Korpus odrazu głowę straci — rzekł.

Udobruchana p. Sabina odezwała się już łagodniej:

— Wie mama? Najlepiej będzie, skoro po przywitaniu matka się w kuchni kolacją zajmie. Będzie pretekst. Ojciec niech się bardzo do rozmowy nie miesza...

— Ale, moja kochana, czy ja ryba jestem, że bym wciąż niemy siedział...

— A ja też w kuchni nie mam co robić, bo wszystko przygotowałam. Wydziwiasz, moja Sabciu!

— Więc rodzice dla szczęścia dziecka nie chcą nic uczynić! — zawołała p. Sabina. — A to pięknie!

Sadzikiewicz wzruszył ramionami.

— Tyle ceregieli, za które jeszcze zapłacić trzeba — mruknął.

— Niechże ojciec sobie wyperswaduje, że bym

ja za pierwszego lepszego wyszła... Edukację mam i talent!

— Koźuchowicz młody po ojcu warsztat weźmie — odezwał się Sadzikiewicz. — Ręczę ci, że pocciwy i talentby twój uszanował, boć sam przecie w kościele na chórze śpiewa.

Tu już oburzenie Sabiny przeszło granice.

— Co ojcu w głowie? Ja i Koźuchowicz! A toż bym wolą starą panną zostać. Cóżem ja gorszego od sędzianki, albo Gargulewskiej?

W kościele zadzwoniono na sumę, i Sabina spojrziała na zegar.

— Niechże rodzice się śpieszą, bo czas do kościoła.. Ojciec jeszcze do rosołu...

— A matka, jak sztuka-mięsa... — zaśmiał się Sadzikiewicz. — Jaki to z tej Sabci korpus dowcipny, panie kochający!

Sabina uśmiechnęła się łaskawie.

— Czasu nie tracąc, trzeba się ubierać. Krysia może zostać. Pójdzie na nieszpory. Ktoś musi domu przypilnować!

Sadzikiewicz zawrócił się ode drzwi.

— A czemu to Krysia? Wczoraj jeszcze prosiła, że chce na sumę pójść.

Sadzikiewiczowa, która jeno przed starszemi córkami kapitulowała, obces na męża wpadła.

— Co się ty tu będziesz do dziewcząt wtrącał! To nie twoja rzecz! Czeladników sobie pilnuj. Kryśka lizus, to ją bronisz. Ja tu jestem matka, rozumiesz?

— A czy ja przeczę? Czy ja nie wiem, żeś ty matka? Niech tam zresztą Krysia zostanie!

W półgodziny później samym środkiem rynku kroczyła rodzina Sadzikiewiczów.

Ulica roiała się od przechodniów, bo każdy na sumę śpieszył.

Na plebanii przy furtce stał ksiądz proboszcz i rozmawiał z młodym paniczem, zgrabnie o sztachety opartym.

Garnitur popielaty leżał na kształtnej figurze młodzieńca bez zarzutu. Kapelusz zielony z piórkiem, z fantazją przekręcony na bok, przykrywał płową, gęstą czuprynę. Szafirowe oczy z pod białego czoła śmiały się pogodą, zdrowiem, weselem, wąs bujny o złotawym odcieniu okalał ponsowe wargi drobne, jak u kobiety.

Proboszcz na powitanie przechodzących Sadzikiewiczów skinął głową uprzejmie.

— Przez zakrystę państwo nie przejdziecie.— Ksiądz kanonik ze Świętnej celebrować będzie i księży *multum* zjechało. Zakrystya zamknięta, boby się ludek pocziwy tłoczył, a nie można.

Panna Sabina, skoro urodziwego chłopca przy boku proboszcza spostrzegła i z podobizny fotograficznej, którą jej Dyrdyński podarował, Seweryna Pistulińskiego poznała, złożywszy w dzióbek usta, dygnęła pięknie i odezwała się:

— Niech ks. proboszcz pozwoli przez zakrystę. W kościele tłok ogromny, nie przepuszczą.

Do księdza mówiła, oczyma w nadobnego kawa-

lera strzelając tak ogniście, że się uśmiechać począł i wąsikami ruszać.

Traf atoli zrządził, że w tej chwili właśnie Kazia Jaworzewska z rodzicami przy furtce się zatrzymała.

Proboszcz ją lubił niezmiernie, bo i pięknymi haftami nieraz się kościołowi przysłużyła.

— Bóg z tobą, dzieweczko!— zawołał wesoło.— Zobaczno, jak ładnie obrus twój na ołtarzu Świętego Antoniego wygląda. To najpracowitsza panna z całych Baków...— śmiał się pocziwie, wskazując dziewczynę Pistulińskiemu.

Rozmarzone oczy kawalera, od rozplomienionej jego widokiem panny Sabiny, zwróciły się szybko na Kazię.

P. Seweryn Pistuła-Pistuliński zapatrzył się na nią i płomyk różowy po twarzy mu szedł coraz wyżej i wyżej, oblewając czoło białe.

Jadwiga pociągnęła Sabinę za suknię.

— Patrz, jak go ta sroka urzekła—szopnęła.— Pójdźmy!

Widok Kazi humor im skwasił.

Po obiedzie wpadł Dyrdyński.

— Jest, jest! — wołał ode drzwi. — Przyjechał i u proboszcza obiada ze wszystkimi kanonikami, hrabiami, dziedzicami... Widzicie państwo, co to znaczy na drzewie genealogicznem się urodzić. Wszędzie drzwi otwarte!

— Widzieliśmy go!—rzekł Sadzikiewicz.

Dyrdyński pochylił się ku Sabinie.

— A co? Nie mówiłem, przesadziłem? Chłopak jak lalka, jak cukierek, nieprawdaż? Bąki dopiero huczeć będą, skoro p. Sabina panią Pistuła-Pistulińską zostanie. Niejednaby z tutejszych panien staremu Dyrdyńskiemu buzi dała, żeby jej takiego Lowela sprowadził.

— Kogo?—spytał dobrodusznie Sadzikiewicz.— Cóż to za nowy korpus?

— To jest, tego... no, takiego w najlepszym, wyborowym gatunku — uśmiechnął się stary filut i zwrócił się do Sadzikiewiczowej.

— Kazałem tu mojej dziewczce wpaść z koszykiem do pani dobrodziejki. Goście się do mnie zapowiedzieli na herbatę i żona ma kłopot, bo pusteczki w kieszeni, szczerusienkie pusteczki. Jak honor Kocham, tak prawda! Niechże tam dobrodziejka moja szyneczki każe przygotować, serdeleczków lub kiełbaseczki krakowskiej, bo to mój przysmak nad wszystkie przysmaki.

Zwrócił się do Sabiny.

— Proszę pilnować, p. Sabino, aby wszystko było *pro forma*; przyjęcie sute, eleganckie! O szóstej przyjdziemy. O kawusi proszę pamiętać. Dyrdyński kożuszki lubi.

Po jego odejściu, Sabina rozpoczęła jeneralny przegląd mieszkania.

Na przybycie gościa odświeżono salon i trzeba przyznać, że wcale pięknie wyglądał.

Garnitury dwa pluszowe, na ścianach kilka sztuków nietuzinkowych, fortepian, w oknach delikatne firanki, dużo roślin i ładnych,

Sabina jednakże ze wszystkiego czuła się niezadowoloną. Piękną twarz Sewerka w pamięci mając, pragnęłaby skarby Golkondy rozrzucić w około, byle go zająć, przyciągnąć.

IV.

Pan Kleofas Dyrdyński wraz z uderzeniem godziny szóstej pociągnął za dzwonek w przedpokoju.

— Idą!—wrzasnęła Sadzikiewiczowa, wyrzawszy z kuchni, uzbrojona w trzepaczkę od bicia piany, cała fioletowa od ognia.

Szesnastoletni Kostek, jedyny spadkobierca nazwiska Sadzikiewiczów, popchnięty kulakiem Jadwigi, wyleciał z salonu do przedpokoju, jak z procy.

— Otwieraj!—cichym szeptem syczała Jadwiga.

— A utnij gapia i nie ukłoń się!—wołała za nim p. Sabina i załamała ręce z rozpaczą:

— Mama wszystkich swąd z indyka wypuściła z kuchni do przedpokoju—jęczała zgnębiona. — Potrzebnie było drzwi otwierać!

Chciała gderać jeszcze i na Sadzikiewicza, że pędził na oślep z otwartymi rękoma, lecz Kostek właśnie drzwi rozwarł szeroko i p. Seweryn, z Dyrdyńskim, ukazał się zgromadzonym.

Czerwony był i zmieszany, co odrazu w oczy biło.

— Mam honor przedstawić...—zaczął hałaśliwie z właściwym sobie humorem Dyrdyński i obejrzał się na Seweryna, mrugając jednym okiem na prawo, drugim na lewo.

— Bardzośmy obowiązani, panie kochający, za taki zaszczyt, takiego oto wysoko urodzonego w domu swoim tego... — jąkał, pusząc się i wznosząc na piętach Sadzikiewicz.

Sabina czerwona, jak burak ćwikłowy, wysunęła się szybko naprzód.

— Niech pan będzie łaskaw, prosimy dalej— zapraszała.

Wytoczyła się z kuchni jeszcze czerwieńsza Sadzikiewiczowa, szeleszcząc jedwabną suknią i nakrochmalonemi spódnicami. Pistuliński się kłaniał, Dyrdyński hałasował, Kostek pędem zbiegł do ogrodu po Krystynę, by gościa przyszyła obejrzeć.

Rozmowa wciąż się rwała. Czuć było przymus, zmieszanie, i wszyscy doznali ulgi, gdy Sadzikiewiczowa zaprosiła do stołowego pokoju na podwieczorek.

— Panie Pistuliński — mówił p. Kleofas, zając babkę przy kawie — przyjmij życzliwą od starego radę: żeniąc się, bacz, aby ci magnifika takie oto przysmaki wypiekać umiała. Jak Pana Boga kocham, prawda! Pani Sadzikiewiczowej dobrodziejce przeznaczone ręce ze czcią ucałować należy. Tak gruntownie wychowanych panien daleko szukać!

— Pan dobrodziej zna Ryki?— spytał Sadzikiewicz Pistulińskiego, który, że to już zakłopotanie

pierwszej chwili go opuściło, zezował ku pannom, w myśli wdzięki ich szacując.

— Nie, panie! Gdzież te Ryki leżą?

— Nad Wartą, panie kochający! 20 mil ztąd... Tam właśnie korpus należący do rodziny mieszka.

Sabinie krew do twarzy napłynęła.

— Podobno teatr zjeżdża do Bąków?— zagadnęła szybko.— Pan lubi teatr?

— Wolę cyrk, proszę pani! — odparł szczerze Seweryn.— Będąc niedawno w Warszawie, ani jednego przedstawienia nie opuściłem. Jakie konie, jakie panny! Aż miło patrzeć! Za miss Arabellą cała złota młodzież szalała.

— I pan?

Seweryn się zmieszał.

— Ja... t. j. właściwie... Ale, że miss Arabella dobrze konia ujeżdża, to fakt! I oczy ma bardzo ładne!

— Czarne, czy niebieskie?

— Niebieskie, proszę pani! Prześliczne!

Sabina przygryzła wargę.

— To pan lubi oczy niebieskie? — indagowała dalej, bystro się w niego wpatrując.

— Niech pani nie wierzy... — pośpieszył uratować niezręczność Seweryna Dyrdyński.— Miljon razy p. Pistuliński powtarzał, że czarne jeno lubi i nigdy by się nie ożenił z panną, coby niebieskimi patrzała. Cóż, kłamię może? Powiedzże sam, mój łaskawco!

— Co tam oczy! — wtrącił Sadzikiewicz, bo mu już milczenie ciężyc zaczęło. — Byle cnotliwa by-

ła, a grosze miała, niechby sobie, jakimi chce, patrzyła.

— Phi! pan kochany wierszami mówi—śmiał się Dyrdyński, a Pistulińskiemu szepnął:

— Bierżże się pan do panny, bo pomyśli, żeś lala malowana.

Po podwieczorku przeszli wszyscy do salonu. Sadzikiewiczowa wybiegła do kuchni dojrzeć piekącego się indyka, Dyrdyński dyplomatycznie usunął się na cygarko z gospodarzem domu, Jadwiga brzdąkała po fortepianie, Sabina z Sewerem zostali w salonie prawie sami.

Sewer znalazł się w kłopotcie.

Sabina siedziała przy oknie i blask zachodzącego słońca twarz jej oświecił. Pod tą niedyskretną pieśczętą wystąpiły zmarszczki, drobne pryszczyki i skazy szpecące pleć... Więc, patrząc na nią, myślał, co on powie tej brzydkiej pannie, boć przecie coś powiedzieć musiał.

— Budzę pana!—zawołała nagle p. Jadwiga.

Roześmiał się.

— Myślałem właśnie o tych Rykach, o których ojciec pani wspominał — rzekł, otrząsając się z zadumy.

Panny spojrzały po sobie rozpromienione. Skoro myślał o Rykach, to i o Sabinie...

Jadwiga wnet zaczęła cuda niestworzone o możliwości matki chrestnej i zarazem ciotki ich najukochańszej opowiadać.

Kawaler rozgrzał się trochę. Spoglądał życzliwie na Sabinę i—o dziwo! mniej mu się teraz brzyd-

ką wydała. Zbladł nawet obraz Kazi Jaworzewskiej, prześladujący go od rana.

Z fantazyą kawalerską zaczął komplementy pannom prawić, popierając je spojrzeniami tak wymownymi, że wzruszona p. Sabina marzyła już tylko o tem, by termin zostania p. Pistulińską jak najprędzej przyspieszyć.

Traf atoli w rozmaity sposób lubi ludziom dokuczać. Pistuliński, czy że już wątek do rozmowy stracił, czy go mordercze westchnienia i spojrzenia Sabiny zmęczyły, spacer do ogrodu zaproponował.

Sabina z wdzięcznym uśmiechem białą koronkową chusteczkę narzuciła na utrefioną głowę i poszła przodem, wiodąc kawalera za sobą.

Ledwo ich dostrzeżono, ruch się wszczął nie mały.

Niezwykły wypadek przybycia w progi Sadzikiewiczów arystokratycznego gościa nie mógł przejść obojętnie. Szeptano o nim i w sklepie i w kuchni, gdzie się dało.

Dzień był świąteczny, więc czeladnicy, panna sklepowa, kucharka, nawet parobek od koni do sieni wyszli.

— Po gębie zara widać, co wielki pan... — mówiła Franka pokojówka, trącając w łokieć Marcynę.

— Bójcież się Boga, ludzie moi kochani, toć on chyba o dziesiątek lat od naszej panny młodszy—dziwiła się stara Jacentowa, a że była mocno głucha, więc mówiła głośno i zdanie to jak najdokładniej do uszu przechodzących wpadło.

Sabina spłonęła szkarłatem, Pistuliński nachmu-
rzył się widocznie.

Chodzili po ogrodzie, milcząc.

— Trzymaj, chwytaj!—rozległy się naraz głosy
w sąsiednim ogrodzie i śmiech wesoły.

Pistuliński przystanął i rzucił okiem poprzez
zielone sztachety.

— A! to ta ładna panienka, co to S. Antoniemu
obrusy wyszywa—odezwał się zaintrygowany Sewe-
ryn.—Jak to ona się nazywa, proszę pani?

Sabina skrzywiła się.

— E! to ze sklepu korzennego, Jaworzewska.
A że S. Antoniemu obrusy wyszywa, to nie dziwne-
go. Mężaby złapać rada

— Przecież młoda jeszcze... Dziecko prawie!...

— Gdzież tam! — zaprzeczyła zbliżająca się ku
nim p. Jadwiga. — 24 lata mając, nie pora chyba na
dziecko pozować.

Pistuliński zdziwił się.

— Niepodobna!—rzekł. — Ledwo na szesnaście
wygląda. Ale to ładna panna! Co się zowie ładna!

— Bywają inne, cenniejsze przymioty—zauwa-
żyła p. Sabina, tłumiąc wzburzenie.

— Panie znają pewno bliżej p. Jaworzewską?—
pytał Pistuliński, zapatrzony w ogród Jaworzew-
skich.

— Nie znamy!—ucięła krótko Sabina.

A Jadwiga dodała:

— To nie dla nas towarzystwo. Ona ma różne
sklepowe znajomości, i ojciec zabronił nam...

— Hm! To bardzo dziwne! — mruknął niezbyt
grzecznie Seweryn.

Przechodzili właśnie starannie wygracowaną
ścieżką, biegnącą tuż koło niskiego płotku, rozdziela-
jącego dwa ogrody. Z rozplecionym do połowy war-
koczem, z rumieńcami na twarzy jaśniejącej weselem,
ukazała im się Kazia, stojąca na ławce.

— Do pana zajączka, do pana zajączka! — po-
wtarzała głosem dźwięczącym, jak metal, i klaskała
w dłonie.

Po przez zagony młodej cebuli, marchwi i pie-
truszki biegło ku niej dwóch małych chłopczyków
z bławatnemi, jak u siostry, oczami, z ciemnemi czu-
prynami, które wiatr rozwiewał.

Pistuliński przystanął i tak się zapatrzył, iż co-
raz bardziej wzburzona Sabina białym narcyzem ude-
rzyła go w rękę, pytając:

— Czy pan bardzo lubi kwiaty?

A on, nie zastanowiwszy się, wskazał Kazię
i odparł szczerze:

— Jeśli takie, jak ten, to okropnie!

Lecz wnet się opamiętał.

— Kpem jestem!—powiedział sobie i zwrócił się
grzecznie do panny.—Wszystkie kwiaty lubię, proszę
pani!—rzekł.—I białe i czerwone i zielone...

A postrzegłszy żółtą barwę sukni p. Sabiny, do-
dał szybko:

— Żółte przed innemi! Żółte bywają najpię-
kniejsze.

Sabina skromnem spuszczeniem powiek komple-

ment przyjęła i w zupełnej zgodzie powrócono do salonu.

Przy kolacyi jednakże Seweryn ciągle wpadał w zadumę, mając wciąż Kazię przed oczyma.

Zzymał się na siebie, bo Sabina patrzyła w niego, jak w obraz, Dyrdyński rozmaite dowcipne aluzje czynił, a on siedział niemy, jak gdyby trzech zliczyć nie umiał.

Wtem odezwał się Sazdikiewicz:

— Sprobójno, panie łaskawy, tego korpusa na półmisku. Pysznie upieczony.

— Cóż? Jakże?—pytał Dyrdyński rozmarzonego winem Seweryna, gdy w parę godzin potem, opuścili gościnnie dom Sazdikiewiczów. — Panna w dobrym gatunku, to pan musisz przyznać. Jest rozum, jest talent i panie dobrodzieju, wzięcie się okazało... Cóż?

Pistuliński zrazu milczał. Poświstywał jeno aryjki wesołe i uśmiechał się

— Indyk był pikantny! - rzekł po chwili.—Wino pewno od Fiszlowej, bo takie smaczne, jak ona, a panna... Hm! Wiesz pan co? Zróbmy tak: ożeń mnie pan z tą śliczną Jaworzewską, ale żeby posag miała Sazdikiewiczówny, Rozumiesz pan?

Dyrdyński skamieniał.

— Co pan wygadujesz? Co panu się zdaje?—wołał oburzony.—Widzę, żeś pan już o Pistulinie zapomniął.

— Ee! nie zapomniałem. Ale żeby się znowu dla niego sprzedawać... „Corpus delictus“ obrzydliwy jest...

Posprzeczałi się na dobre.

Dyrdyński atoli nadziei nie tracił.

— Poślę ja mu żydków z wyroczkami—myślał. —Zje licha, jeśli bez Sazdikiewicza pieniędzy radę sobie dać potrafi.

Wśród uroków księżycowej nocy, p. Pistuła-Pistuliński parą gniadoszów w mocno podniszczonym wolancie podązał do domu.

Był dziwnie rozmarzony i piękna Kazia w myślach jego majaczyła. Gdy wszakże wesoły Wojtek, z fantazyą trzasnąwszy z bata, przed ganek w Pistulinie zajechał, Seweryn, wyrzuciwszy z wezbranej piersi westchnienie, rzekł sobie:

— Pilnuj serca Sewerciu i nie bądź głupi. Tamta nie dla ciebie, więc tę bierz, skoro z nią i talarki papy Sazdikiewicza do kieszeni twojej przejdą.

V.

Od kiedy Pistuliński w roli starającego się dom Sazdikiewiczów odwiedzać zaczął, dużo się tam zmieniło.

Stary głową kręcił, wzdychał, bo coraz nowe wydatki wypędały grosz z kieszeni. W salonie natomiast przybył nowy garnitur mebli, w stołowym piękny kredens, a gdy Dyrdyński w tym właśnie cza-

sie do Warszawy jechał, Sabina prosiła go o kupienie pająka i świeczników, oraz innych drobiazgów.

— Każ też kupić i dwa posągi—radziła Jadwiga—i postaw w rogach salonu na słupkach. U Krzyckich widziałam. Zaraz modniej będzie salon wyglądał.

W skutek propozycyi tej, Słowacki z Moniuszką zjechali do Bąków.

Sadzikiewicz, gdy mu p. Kleofas rachunek przedstawił, za głowę się chwycił.

— Targowałem się, jak żyd...—opowiadał.—Ale co modne, to kosztowne! Sławni ludzie, pamiątki!

— Et! burknął z niechęcią Sadzikiewicz—nikt takim panom poczciwości i rozumu nie ujmuje, ale żeby po śmierci korpusy tyle za siebie płacić kazali, to już grzech!

Dyrdyński wzruszył ramionami.

— Pan własnego interesu nie rozumiesz...—mówił. Gdy idzie o pozyskanie takiego zięcia, jak Pistuliński, niczego żałować nie trzeba. W miasteczku już coś przewąchali. Mogą zepsuć, i dla tego radzę pośpiech!

Nie zasypiał też sprawy.

Ale Pistulińskiego trudno było do oświadczyn nakłonić.

Do Sabiny czuł wstręt nieledwie; z całej rodziny jedna tylko Krysia do serca mu przypadła.

— Powiedźże mi pan z łaski swojej, o którą się starasz?—pytał po wielekroć Dyrdyński srodze zaniepokojony.

— Ta sroka choć gładka, próż z kilku tysięcy

nie więcej nie dostanie. Pistulina to nie uratuje. Niechże się pan zastanowi.

— Zrób pan tak, żeby Sabina rzekła się swego spadku po matce chrzestnej na korzyść siostry, to się wnet ożenię z Kryską—żartował Seweryn.

— A no to Bogu dziękować, żeś pan już o Jaworzewskiej zapomniał—podsunął Dyrdyński, chcąc jeden ogień drugim zagasić.

Seweryn westchnął.

— Tębym i bez posagu może wziął, żeby nie ci żydzi, co mi na karku siedzą—mruknął.

— Ba!—zaśmiał się ucieszony Dyrdyński—nie tylko na karku, panie kochany! Oni już za kołnierza panu powłazili. Rozmawiałem wczoraj z Lewim. Słuchać nie chce o zwłoce. Mówi, że wyroki w kieszeni ma. a Jakóbski pieni się ze złości. „Kpiny sobie z nas robi”—powiada.

— Idź pan do licha, ze swoim Lewim i Jakóbskim—rozniewał się Seweryn. Jak mi się spodoba, to się ożenię, a jak nie, to żaden Lewi ani pański przyjaciel Jakóbski nie pomoże.

— A inni? — pyta cierpliwie Dyrdyński.—Czy pan kiedy swoje długie obliczał?

— Głupibym był! Niech ci obliczają, co mi dali.

— Piękna zasada, mądra zasada! Oni też obliczają, a jakże! Jakóbski i Lewi wyroki mają w kieszeni. Piękna zasada! — chytrze — potakiwał stary. Za to ja, ot tak, przez życzliwość po prostu, zrobiłem sobie mały obrachunek.

Dobyl notes z kieszeni i nie zważając na skrzywienie Pistulińskiego, czytać począł:

— Natanowi Lewi 3,000, półroczny procent zalega. Wojciechowi Jakóbskiemu 8,000 z procentami od lat trzech, Moszkowi Grynszpanowi 800, Fiszlowi za wybrane towary 650, Gawelkiewiczowi 1,300...

— Skończ pan do licha tę litanie! — zawołał z gniewem Pistuliński. Nie ciekawym!

Dyrdyński nie ustępował.

— Ekonom piszczy, że robocizna nie płacona, służba też się naprzykrza... W Lutym nadchodzi nowa rata Towarzystwa. Dalibóg nie pojmuję, co pan myślisz?

— Myślę, że pan plotek głupich słuchasz — łagodniej już odpowiedział Pistuliński. Sam wiem, że przed Lutym coś zrobić trzeba. Ale ta panna Sabina! Pan też niedołęga jesteś! Niepodobna, aby się w okolicy, czy w mieście partya jakaś uczciwsza nie znalazła.

— Pistulin na sercu mi leży — odparł rzewnie Dyrdyński. Nie spocznę, dopóki go nie uratuję. Panie Pistuliński kochany! Panie Sewerynie! Jeśli Boga kochasz nie ociągaj się, nie zwłócz... Pannę ci kto z przed nosa capnie, a wtedy co? Myślisz, że się znajdzie druga głupia, coby posag w Pistulin wpakowała?

Sewerek się obraził.

— A cóż to Pistulin? Nie kawał ziemi? Żytniówka wprawdzie, ale jaka! Zresztą, skoro ci tak pilno, oświadczyć się za mnie.

Dyrdyński wrzał gniewem, lecz w cierpliwość

zbroić się musiał, a tymczasem święta Bożego Narodzenia nadeszły.

— Trzeba w Ś-ty Szczepan wydać bal, ojcze... zaprojektowała panna Sabina.—Niech ojciec pieniędzy nie żałuje, bo musimy wystąpić z przyjęciem i zaimponować.

— A zaraz wystąpić, zaraz imponować — krzywiąc się, odparł Sadzikiewicz.—Pęknie znowu kilkadziesiąt rubli.

— Ojciec już zawczasu skapi i wyrzeka...—mruknęła Sabina, a Jadwiga dodała:

— Ojciec tak zawsze. My dlatego mężów dostać nie możemy. Każda się wyda, nawet taka Jaworzewska, choć na własne oczy widziałam, jak ją w sieni młokos jakiś po rękach całował.

— Albo to jeden?—wtrąciła Sabina. Sadzikiewiczowa wzniosła oczy do góry.

— Widzisz, Adamie, jakie to córki nieraz bywają. — odezwała się do męża.—Jakoś ty powinien Panu Bogu dziękować.

— Za co? Że kawalerowie po rękach ich nie całują? Tożbym wolał, żeby całowali. Możeby przędzej do ołtarza który korpus zawędrował.

— Niepotrzebnie się ojciec sady na koncepty — odezwała się Sabina. Są poważniejsze rzeczy. Więc cóż ten bal?

— Ha! jak trzeba, to trzeba! — mruknął.—Byle z kredką, panie kochający.

Rozpoczęto przygotowania.

W Ś-ty Szczepan mroźno było, śnieżno, ale sucho. Przed domem Sadzikiewiczów gromadka gapiów

już od godziny szóstej oczekiwała gości. Ci już byli zebrani, gdy sanki Pistulińskiego, przy akompaniamencie dzwonek i wystrzałów z bata, których sobie Walek woźnica nie żałował, zajęły przed dom.

Woniejący zapachem najmodniejszych perfum, z kwiatem w butonierce, z miną tryumfatora zjawił się w salonie pan Seweryn. Gdy wszedł, nawiasem mówiąc, we fraku, z monokłem w oku, wspaniale wyglądał, wszyscy się ku niemu ciekawie zwrócili. Sabina raki spiekła, młodzież patrzyła z zazdrością, panny strzelały w kawalera pełnemi uwielbienia spojrzzeniami.

Nastąpiły powitania, prezentowanie się wspólne. Seweryn się kłaniał naprzód kanapowym i fotelowym paniom, kłaniał się potem młodzieży płci obojej, niekiedy dłoń podając do uścisku, z miną wielce pańską.

— Bardzo mi miło, bardzo przyjemnie... powtarzał.

Przystojny, o poczciwym spojrzeniu i szczerym uśmiechu Stach Koźuchowicz szepnął Krystynie, której twarz różowa wychylała się z białych falbanek muslinowej sukni, jak polny mak z bujnej fali żyta:

— Lalka od perukarza, nieprawdaż?

Matki, spoczywające na kanapie, poglądały na Pistulińskiego z zachwytem.

Zasiadła tam pani poczthalterowa, obok niej żona kasyera miejskiego, dalej wdowa po starszym felczerze, którą, przez pamięć dla nieboszczyka, doktorową tytułowano, dalej jeszcze sekretarzowa z powiatu. Pani Kajetanowa Gargulewka, że to już dla niej miejsca na kanapie brakło, rozpięrała się w fotelu

z miną imponującą. Głos jej piskliwy górował nad innymi; sekundowała jej wiernie pani Grylska, posiadająca browar w Bąk: ch, osoba wielce ruchliwa, rozpoczęająca zwykle rozmowę od: „Moja ty,“ chociażby mówiła do kobiet nieznanych, które się znowu o tę poufałą nazwę śmiertelnie obrażały.

Przy fortepianie zgromadziła się młodzież płci obojej; panna Sabina, w zieloną z różami suknię przybrana, wygrywała najnowsze walce i polki, zachwycając kawalerów, do żeniaczki skłonnych, nietyle swoim talentem, ile cyfrą posagową w dziesięćkroć powiększoną nadzieją spadku po matce chrzestnej.

Psuło to humor pannie Jadwidze, mocno dekolowanej i tak czerwonej, jak burakowego koloru jej suknia. Rozgoryczona, oglądała się tylko, gdzieby komu łatkę przypiąć.

Sadzikiewicz, w poczuciu podwójnych obowiązków bogatego obywatela i ojca córki, o którą szlachcic karmazynowy konkurował, z godnością honory gospodarza czynił; małżonka jego rzadko ukazywała w salonie, pilnując kuchni.

Pistuliński ogólnie wywarł wrażenie najlepsze.

— Moja ty! — ozwała się pani Grylska do sąsiadki—to wcale przyzwoity kawaler. Czy pani myśli, że on się z Sabiną ożeni? Ja powiadam, moja ty, że to tylko próżne bałamuctwo.

Pani poczthalterowa, do której apostrofa ta wyśtosowaną była, bez uwzględnienia okoliczności, że się wcale bliżej nie znały, zapłonęła rumieńcem obrzania.

Grylska zwróciła się do kasyerowej.

— Moja ty, — zaczęła, ale ta zerwała się i uciekła do panien.

Gargulewska, tłumiąc śmiech, przesiadła się szybko na opróżnione po kasyerowej miejsce i dalejże górnym stylem z doktorową rozmawiać.

— Jak się też pani doktorowej gwiazda dzisiejszego balu podoba? — pytała. Różnice społeczne nigdy się jednak nie zacierają. Dobre urodzenie zaraz się na człowieku odbije.

Sadzikiewicz, który obok stał, wtrącił ze śmiechem:

— A jakże, odrazu. Korpus klapsa bierze, skoro się tylko urodzi.

Panie kanapowe uśmiechnęły się półgębkiem. Gargulewska ramionami wzruszyła.

— Tylko to nieszczęście — ciągnęła dalej — że teraz popularność w modę wchodzi. Przez to się i porządek społeczny psuje. Każdy powinien swojej sfery się trzymać i w górę się nie piąć.

Doktorowa rozsądna, cicha niewiasta odparła:

— Co nam tam do tego, proszę pani.

— Sąsiad zaręczyny wyprawiasz? — pytał pose-sor Mordalski. — Aleście pono wysoko sięgnęli, he? Gadają, że kawalera księżna jakaś, czy hrabina rodzi. Prawdaż to?

Sadzikiewicz wspiął się na palcach. Duma go tak w górę podsadziła.

— Ślicznie się rodzi... — odparł. Drzewo i herb ma, wszystko z pieczęciami, z podpisami... Korpus, panie kochający, arystokrata!

— Hm! — mruzczał Mordalski — takie korpusy to

czasem niepewne bywają. Pilnuj się sąsiad, bo to podobno Dyrdyński swata. Łgarz wierutny!

— O, o! Cóż znowu! — bąkał zmieszany Sadzikiewicz. — Któż to tę plotkę urodził?

— Któżby, jak nie kobieta? — śmiał się rubasznie Mordalski. W mieście aż huczy. Niech gadają. Mnie tylko dziwno, bo podobno cały ten Pistulin kopieski nie wart, tyle na nim żydowskich pijawek siedzi. Sąsiad chyba o tem nie wiesz? Na te ciężkie czasy grosz w zaniedbane gospodarstwo kłaść... A niechże zięciaszek straci i żonine, jak stracił swoje, to mu to wcale nie pomoże, że go księżna albo hrabina urodziła.

Sadzikiewicza coś w okolicy wątroby kolnęło. Już nie pierwszy raz kolki tam uczuwał, od kiedy hypotekę Pistulina zobaczył. Trwoga o posag córki, ciężką pracą zdobyty, psuła mu rozkosz nazywania zięciem swoim Seweryna Pistulę Pistulińskiego.

— Młode piwo się wyburzy, a esencja na spodzie zostanie — odrzekł z wahaniem. — Korpus jest szlachcic uczciwy, wstydziłby się panie kochający... żonine tracić.

— Może być! — mówił z powątpiewaniem Mordalski. — Jabym zawsze wolał takiego, co ma grosz w kieszeni. Niechby go tam choćby ślepa wrona rodziła.

Ozwała się muzyka, i P.stuliński walcem z panną Sabiną bal rozpoczął.

Pi-tuliński pięknie tańczył. Szeptaly o tem pomiędzy sobą panienki z zazdrością. bo widocznem było, że młody obywatel szczerze o Sabinie myśli. Musiały też przyznać, że ta Sabcia niepożciwa ładnie

dział wygląda. Majowa sukienka z różami odmłodziła ją, a może uczucie, które jej serce rozgrzało.

Przy kolacyi, że to mięsna były smaczne i wino dobre, więc z czupryn się kurzyło i fantazyja podbudzona wszystko w jaśniejszych kolorach przedstawiała; Pistuliński naprzeciw Sabiny siedząc, miny robił czule i oczyma przewracał.

— Czemu pani kompotu nie je?—co chwila pytał.—A może galaretki?

Grylska nieznacznie trąciła w łokieć Gargulewską.

— Moja ty. — szepnęła. — Widzi to pani, jak o niej pamięta? Proszę, proszę! Anim przypuszczała, bo między nami mówiąc, cóż ona? Skóra i kości. Moja ty, czy pani nie wie, ile ona ma lat?

— Bodajże z Małgosią paniną rówieśniczki.

Grylska udała, że nie słyszy.

— Co pan tej osobie życzy?—spytała Jadwiga, podsuwając Sewerynowi gałkę z chleba.

— A czy ładna, proszę pani?

Mordalski wtrącił złośliwie:

— Ale bogata. Co tam ładność, fraszka!

Sadzikiewicz dobrze już podpiły, pokiwał głową z uznaniem.

— I ja tak mówię, panie kochający. Młodość, gładkość, czas zabierze, a pieniądź, aby go tylko dobrze ścisnąć, zostanie. Zawsze Sabci powtarzam: „Nie bój się, choćbyś sto razy brzydsza była, weźmą cię! A w zęby ci też korpus taki, panie kochający, zaglądać nie będzie, jeno w kieszeń. Ot co jest!

Twarcz panny Sabiny z czerwonej stała się fio-

letową. Jadwiga zakrzuszyła się galaretą, Mordalski wraz z innymi śmiał się do rozpuku.

— W tej naszej mieścinie—mówiła do sąsiadki pani kasyerowa—życie towarzyskie jest niemożliwe. Poświęcenie robi się ze swoich przekonań i prawie zapomnieć trzeba, do jakiej sfery się należy.

— Człowiek pleśniej na takim pustkowiu—odparła poczthalterowa.—Czy pani widzi, co oni tu z tym Pistulińskim wyprawiają? Nazwałabym go idyotą, gdyby się dał złapać.

— Tak! potwierdziła kasyerowa. — Powiem pani szczerze, dla niego tylko jesteśmy tu dziś z mężem. Chcę go zaprosić do nas na Gromniczną.

— Czemu to pani p. Jaworzewskiej nie zaprosiła?—spytał Seweryn.—Taka śliczna panna, dopierośmy hulali!...

Pomiędzy pannami powstał szmer. Najpiękniejsza w całym mieście Kazia Jaworzewska ogólną w płci nadobnej wzbudzała nienawiść.

— Jaworzewska śliczna?—dziwiła się Marynia Gargulewska. — Gdzie też pan śliczność tę wypatrzył?...

— Uroda, to rzecz powierzchowna,—odezwiała się z niewinną minką panna Jadwiga. — I bardzo źle jest, jeżeli się o tem wie i zamiast przy pracy spędza się czas w sklepie, kokietując kupujących.

Mordalski, który się przyjaźnił z Jaworzewskim i często na gawędę o polityce do niego zachodził, spojrział na Jadwigę liechętnie i rzekł:

— Rzadko ona w sklepie siedzi, prawie nigdy, a do zwierciadła też wątpię, aby miała czas zaglądać.

Matka słabowita, sklepem zajęta, cały dom ta pocziwa Kazia ma na głowie.

— A co? Czy nie mówiłem? — zawołał Sadzikiewicz, do córek się zwracając. — Wyście zawsze na nią historję wymyślały! Ja przecie chciałem Jaworzewskich zaprosić. Niechby sobie dziewczynina poskakała trochę, bo to korpus uczciwy jest...

— I delictus! Oo! jeszcze jaki! rozśmiał się Pistuliński podchmielony

Sabina przygryzła wargi.

— To nie dla nas towarzystwo... — odrzekła.

Krysia zirytowana, kręciła się na krześle, czerwona, jak burak.

Judka, wypawszy się niezłe podczas kolacyi, pociągnął energicznie smyczkiem, i dziarski mazur młodzież od stołu ruszył.

Sewerek, tańcząc w pierwszą parę z Sabiną, coraz nowe wymyślał figury, coraz goręcej na Sabinę spoglądał. Wino w nim szumiało, więc ją tak za rękę ścisnął, że ledwo nie krzyczała z bólu.

— Cóż? Cóż? — pytała matka, gdy w przerwie między figurami mazurowemi Sabina na chwilę przy niej się znalazła. — Oświadczył się?...

— Co matka znowu? — oburknęła, przyciskając pierś wklęsłą, bo jej tchu brakowało. — W tańcu? przy wszystkich? Jakżeby!

— To możeby go do drugiego pokoju tak nie chcący wywołać? — proponowała Sadzikiewiczowa. — Jabym ci radziła nie zwlekać...

— Para za parą! — huknął z obywatelskiej pierśi Sewerek i porwał w taniec pannę Sabinę. Cały

pokój już z nim tańcował. Czarne oczy panny Sabiny, szafirowe żrenice Krysi, słodka twarzyczka Kazi Jaworzewskiej pomieszały mu się razem i, ścisnąjąc rękę Sabiny, pewnym był, że wszystkie razem ścisną.

— Niech mi pani wierzy — mówił potem, uprowadzony zręcznie do jadalni, gdzie sami odpoczywając, siedzieli — że dziśbym się ożenił, gdyby nie te nieznośne ceremonie: oświadczyzny, zapowiedzie, ślub... A ludzie zaraz z radami: to taka, to owaka!...

— Ludzie i w całym domu znajdują... — odezwała się z prostotą p. Sabina. — Nie trzeba na nich zważać. Zazdroszczą...

— Tak pani mówi? Oczywiście zazdrościliby — ucieszył się Sewerek... Olkowski z Głęбина, zna go pani? Ten wysoki z bakami, co to o Zapilską w Korytówce się starał, tenby pękł z zazdrości. Pistulin postawiłibyśmy na nogi... Te kare cugowce kupiłbym od Anatolskiego i karetę... Zadalibyśmy szyku, co?

Panna Sabina uśmiechała się milutko. Wprawdzie w rojeniach tych nie było omyłki słowa, ale dojrzała panna bardzo rozsądnie to sobie wyperswadowała. Mąż młody, przystojny, da jej szlacheckie nazwisko i godność obywatelki. W drzewie genealogicznem, o którym cuda opowiadał jej Dyrdyński, wynajdzie jakiego hrabiego i na białej, koronę hrabiowską umieścić może. Czyż to nie dosyć. O! jakże się pysznić będzie nad tą arystokratką pocztałterową, doktorową, sędzią, a p. aptekarzównie za to, że jej się w kościele nie odkloniła, chociaż na jednej ławce szkolnej siedziały, dopiero pokaże!

Więc rozpromieniona spojrzała na Pistulińskie-

go takim wymownym wzrokiem, że Sewerek. nie namyślając się, schwycił ją za rękę i całować począł zapamiętane.

— Jak Boga kocham, panno Sabino, tak mi się pani dzisiaj nad wszystkie podoba!—opowiadał z zapalem. A wtem Marynia Gargulewska, która ich podpatrywała, stanęła przed nimi niespodziewanie.

— Cóżecie się państwo tak odosobnili?—spytała złośliwie. A tymczasem p. Mordalski projekt podał, żebyśmy kulig urządzili i krakowskie wesele. Kazia Jaworzewska ma być panną młodą, a pan, panie Pistuliński, musisz się roli pana młodego podjąć.

— Co pani mówi? — zawołał ucieszony Sewerek.— Pójdę go uściskać za ten projekt cudowny.

Czar pierzchnął. Prócz Kazi, o uikim już teraz nie myślał.

Rumiany świt poranku w okna zaglądał; jakże bladym w obec niego wydawało się światło lamp i kinkietów, jakie zmięte twarze i toalety pań, jak postarzałą panna Sabina w majowej sukni i postrzępionych różach.

— Aleś mi pan dorodną pannę młodą wybrał!...—mówił do Mordalskiego ucieszony Seweryn.—Wdzięczny jestem bardzo!

— Co ty na to?—spytała Jadwiga Sabiny.

— Już ja mu za to zapłacę!

— Jej, jej, nie jemu! Taka to nia warta po ziemi chodzić.

A Krysia, to posłyszawszy, szepnęła:

— Pewno, bo za ładna!

Pistuliński, jak gdyby nigdy czułych zwrotów

do Sabiny nie czynił, myślą o kuligu pochłonięty, że-gnać się zaczął.

— Kiedy pan przyjedzie?—spytała szeptem Sabina, czule na młodzieńca patrząc.—Nie skończyliśmy rozmowy...

Sewerek węża niecierpliwie targnął.

— Może w tygodniu wpadnę... odparł od niechce-nia i, uściskawszy chłodno jej rękę, wyszedł.

W godzinę potem do domu jadąc, o Kazi rozmy-słał. Kazię to wbił sobie w mózg, jak gwóźdź w ścianę.

— Ozłociłbym Mordalskiego... — myślał upojo-ny.—Toż będę miał uciechę. Napatrzę się do syta i—jako pannie młodej, a niby mojej kuligowej żonie i rączkę mogę ścisnąć i słodkie słówko szepnąć. Gdy-bym był wiedział, że takie śliczności na świecie są, tobym był pierwszego zaraz żyda, co mi pieniędzy po-życzył, żywcem ze skóry odarł. Niegodziwcy, gałga-ny! Wrota mi do rajy zamknęli. Sabina ledwo mnie nie polknie oczami, a ja, dalibóg, wolę, aby Pi-stulin dyabli wzięli, aniżeli w taką niewolę mam się zaprzedać.

Otuliwszy się szczerlnie futrem, rozsiadł się w szerokich saniach wygodnie.

Sen mu kleił powieki, wino szumiało w głowie.

— Wojtek!—szepnął, przymykając oczy—bacz jeno, żebyś nie wysypał...—kiwnął się raz, drugi i za-snął.

Wojtek znał służbę. Oglądając się niekiedy na śpiącego pana, jechał wolno, poświstując, to wrony przedrzeźniał, to baby drogą idące zaczepiał. Dzi-

wną błogość czuł w piersiach. W kieszeni od kamizelki spoczywały, starannie w bibułę szarą zawiązane, dwa papierki, które od panny Sabiny dostał. Niby to z okazji świąt, i że to często z panem do nich zajeżdżał.

Wójtka, macając się po kieszeni, mruzczał pod nosem:

— Bez to mi dała, cobym ją przed naszym panem chwalił... Głupibym był. Takie, to się potem dobrze człowiekowi dadzą we znaki, bo jej złość z oczu patrzy i skąpstwo. Miarkuję, żeby te dwa papierki odbiła na mnie. Nie potraza nam w Pistulinie takiej marmozeli.

Gdy wjeżdżali na mostek przez groblę rzucony, Pistuliński się ocknął.

Słońce wysoko ku południowi się podniosło i Pistulin stał przed nimi w promieniach jego skąpany.

Wioska to była niewielka ale ładna. Kilkadziesiąt chat rozrzuconych bezładnie, kawałek sosnowego lasu z jednej, młyn i staw niewielki z drugiej strony, dalej dworek na wzgórzu, do którego dróżka młodą jarzębiną wysadzona wiodła. Starań i pracy ze strony dziedzica nigdzie tu widać nie było. Przeciwnie. Ze sztachet, okalających sad, wyrwano kilkanaście desek, litościwa dłoń pękiem chrustu dziurę zasłoniła, ale o reparowaniu nikt nie pomyślał.

Dach na stodole przeświecał, dopominając się poszycia, oficyna wśród nagich drzew bezlistnych pokazywała odrapane mury, a przecie wielkich rzeczy nie trzeba było, aby to wszystko dla oka i własnej wygody opatrzyć przyzwoicie.

Sewerek na te drobiazgi nie zwracał uwagi.

— Pośpieszaj no, Wójtka! — wołał na chłopaka. — Wleczesz się, jak ze smołą.

Na ganku gromadka ludzi oczekiwała. Wiśniacy, którym nędza dojadła, przyszli z kwitkami po wypłatę. Żyd pachciarz chciał wytargować ciółka, oczywiście w procencie, bo z dziedzicem zdawna rachunki miał; fornale wyprosić się na jarmark.

— Niechże was pioruny jasne trzasną! — zaklął, zoczywszy ich, Pistuliński. Wyskoczył szybko z sanek, chcąc zemknąć. Zastąpili mu drogę.

— Pochwalony Jezus Chrystus! My do pana dziedzica... — ozwali się chłopci z pokłonem.

— Kląniam wielmożnemu panu — witał słodko pachciarz, gnąc się ku ziemi. — Niech będzie wielmożnemu panu na zdrowie...

— Śmiem się łaski pańskiej dopraszać... — rzekł stary Gula, obejmując kolana dziedzica. — Chcielibyśwa pokłonić się wielmożnemu dziedzicowi o furkę gałęzi. Jucha mróz trzyma w chacie, nieprzymierzając jak na dworze.

— Od kopania jescek kwitki przyniesiśwa... — ozwał się nieśmiało Brodzik, z brudnej szmaty dobywając zwitek kolorowych kwitków.

Pistuliński się rozgniewał.

— Dajcież mi odpocząć, do pioruna! Ledwom z sanek zlazł...

— Nu, pan dźedżyc prawdę mówi... łasił się żyd, usuwając chłopów. — Co się tak pechacie, gospodarze?

Pfuj! Pan dźdźyc ucieka, a to co? Głupie ludziej Pfuj!

— A Lejbuś czego tu chce? — spytał śmielszy Gula. Lejbuś pewno po tego ciółka od graniastej?... Toć i tak go nie wyszachrujeta od dziedzica, bo za młody.

Chłopi się rozśmieli, żyd Gulę za kapotę pociągnął, dając znaki, by milczał.

Pistuliński zwrócił się do Brodzika.

— Dziś nie płacę. Idź stary do domu, a trzymaj kwity, żeby ci nie uciekły... dodał, żartując.

Brodzik się w głowę poskrobał.

— Dopraszam się łaski wielmożeeego dziedzica...

— Nie zwracaj głowy! Powiedziałem, że nie płacę, to dość. A ty czego? Z książką? Oszalałeś? Ja ci będę dzisiaj książkę obliczał... Jarmark, powiadasz? Proszę! Obejdzie się bez ciebie. Będę tam tacy, co i za ciebie i za siebie się upiją. Ruszaj do roboty.

— Wielmożny dziedzicu, buciska się zdarły ze szczędem, duchemby potrza nowe... Baba skrzeczy, że do garnka niema co wsypać. Jeszcze świętojańska zasluga stoi...

Pistuliński przygryzł wąsa.

— Powiedz ekonomowi, niech ci wyda ze śpichrza jęczmienia ćwiartkę—rzekł do fornala.

— I żyta, wielmożny dziedzicu... prosił chłop, obejmując pańskie kolana. Dzieciskom bez chleba cknij okrutnie.

— Tybyś zaraz cały śpichlerz zagarnął... od-

parł Pistuliński znudzony.—Bierz i żyto, a głowy nie zwracaj.

Brodzik, widząc wspaniałą hojność dziedzica, nabral odwagi.

— Dopraszam się łaski wielmożnego pana—zaczął—jabym też korczyk jaki żyta, czy jęczmienia... Bieda ze wszystkich dziur ślepie na człowieka wywala... Na kwitkach stoi sześćdziesiąt dwie złotówek, że to ich troje z jednej chałupy chodziło do kopania.

Pistuliński wbiegł szybko do sieni; Lejbuś pośpieszył za nim.

— Aj, wielmożny dziedzicu, czy to warto tych gałganów chłopów paść? Po co jemu jęczmień, po co jemu żyto? Aj, szkoda!

— Dużo się robi dla spokoju, mój kochany... odrzekł obojętnie Pistuliński. — Co tam zresztą trochę jęczmienia znaczy.

— Ekumon dwa razy tyle wyda... — mruknął żyd. Z fornalem wódki sobie napije...

— Lejbuś, Lejbuś, pleciesz jak na mękach. Nie trzeba podejrzewać nikogo. Choćby tam nawet skradli jaką ćwiartkę... Głupstwo! Każdy gospodarz musi być na to przygotowany.

— Podatków nie płacone... — wtrącił żyd. Do siewu może zbraknąć...

Lejbuś był doradcą i, w gwałtownej potrzebie, duchem opiekuńczym dziedzica, więc w każdej okoliczności miał prawo głosu.

Pistuliński, barszcz zadysponowawszy, położył się na sofie z cygarem.

— Słuchaj-no, Lejbuś, nie psuj mi ty humoru...—odezwał się łagodnie.

— Pal dyabli siew i podatki. Mam ważniejsze rzeczy na głowie.

— Nu,—mruknął żyd. Towarzystwo...

— Zgadłeś! Takżebym miał czem głowę sobie przedwcześnie zaprzętać... śmiał się Pistuliński. Towarzystwo w Lutym, a teraz początek karnawału. Kulig się w Bąkach szykuje i krakowskie wesele. Pieniędzy nie mam, ot co jest.

Lejbuś milczał, zmrużywszy okrągłe, żółtawe oczy.

Pistuliński spojrzał na niego z pod oka.

— No i co?—spytał?

Żyd z miną pogrzebową patrzył w ziemię.

— Zkąd wziąć?—mruknął wreszcie. Wielmożny pan wie, co teraz pieniądz ciężki. Kto teraz czem handluje? Czi z wełną, czi ze zborżem... Aj bieda!...

— No, no! Lejbuś, już ja cię znam! Jak będziesz chciał, wynajdziesz. Dużo nie trzeba.

— Niechby rubel, to też nie mam.

— Głupis Lejbku! Chciałbym ja mieć w szkatule to, co zarabiasz na pachcie. Ty wiesz, że ja na wszystkie twoje operacje przez szpary patrzę.

Żyd cofnął się ku drzwiom.

— Kląniam wielmożnemu panu. Lejbuś tu nie ma co do roboty... rzekł obrażony. Lejbuś oszust, Lejbuś gałgan... Wcale nie miszlałem żeby u wielmożny dziedzyc taki paskudny myśl wlaźł do głowie. Co ja z tego pacht mam? Moje żone przez niego choruje, moje żone przez niego płacze i z krowem nie

szpi w nocy i z krowem nie jada... Aj waj! to jest wielki rarytas taki pacht trzymać. A kiedy wielmożny dziedzyc powiada, że to jest oszukaństwo, kląniam wielmożny dziedzyc.

Pistuliński zerwał się i za rękaw go schwycił.

— Stój stary, bo ci pejsy oberwę! — zawołał. — Cóżes taki obraźliwy? Widzisz go!

— Żyd też swojego honor ma...

— Jaki tam u was honor...—śmiał się Pistuliński.—Obedrzeć goima. Ale słuchajno Lejba, nie irytuj mnie. Pięćdziesiąt rubli musisz zkąd wytrzasnąć, choćbyś miał pończochę Małki rozpruć. Ona tam talarki chowa, powiadam ci.

— Zkądby u Małki w pończosze talarki były?...—bronił się Lejbuś. — Bywa i tak co u niej na rybę szabasową albo na cebulę feniga niema.

Pistuliński poczęstował go cygarem.

— O jakim to cielaku Gula wspominał?...—spytal patrząc filuternie na żyda.

Lejbuś mlasnął wargami, jak gdyby coś bardzo smacznego próbował.

— Ten cielak chudy jak śledź... — odezwał się lekceważąco. — Jemu nie na chowanie... To od tej granichy...

— Co płeciesz, żydzie? Po najlepszej krowie ciołek... Jak roczniak wygląda.

— Nu, co to wielkiego? Albo to tłuste matki nie rodzą chude dzieci? Moją Małkie ledwo się rusza od tłustości, a Izaak taki chudy jak patyk.

— Pójdę ja tego ciołka obejrzyć — rzekł na to Pistuliński.

Żyd kręcił się niespokojnie.

— Niech wielmożny pan idzie. Pfuj, taki ciołek, co to za ciołek...

Pistuliński skierował się ku drzwiom.

— A no to pójdźmy.

Żyd uczuł niepokój.

— Pan dziedzić prędko tych pieniędzy potrzebuje? Kiedy szukać, to szukać. Ciołek nie ucieknie.

— Choćby dziś...

— Mordka w Kleczewie sprzedał sto gęszów, tym handlarzom z Wólki. Pieniądzów ma... Niech porzyczy.

Pistuliński śpiący, znudzony chciał się pozbyć żyda jak najprędzej.

— Ciołka możesz sobie wziąć za fatygę—rzekł niedbale, poczem rzucił się na sofę i zasnął.

VI.

Nazajutrz, koło południa, okiennice w pokoju Pistulińskiego zamknięte; w ganku siedzą chłopci. Przyszli, jak wczora, upomnieć się o swoje, a przywykli do zwyczaju panów, którzy godzinami wyczekiwać na siebie każą, gwarzyli o Pistulinie, twierdząc, że dni jego policzone.

— Kupi jaki żyd bestya bez licytacji i tyła...—mówił z niechęcią stary Drobik. — U panów to tak

zawdy... Chłop rękami ziemi się trzyma i tak ją miłuje kiejby dziecko rodzone i nie puści choćby sobie pazury do krwi pozdzierał przy robocie... a panowie...

— Bogać! — wtrącił Koszubek. — Mało się to człek nabieduje, naharuje... Ta ziemia nasza kochana nie pofolguje. Potem ino żyje i mordęgą. U panów jensza rzecz. Chłop się napracuje. Pan przepuści, a z żydem się za ręce trzyma, bo mu z tem dobrze.

— Lejba ciołka wycygał od dziedzica...—rzekł Gula.

— Widzita, jaka to chytra bestya! Ośm papierków przyniesłiśwa dziedzicowi w tamtym tygodniu, bo baba okrutnie na dobytek cheiwa, odporu mi nie dawała, a dziedzic pedzieli co nie przedadzą—opowiadał rozżalony Jasiek Adamczyk.—Żyd se zawdy prędzej poradzi...

— Żydzi potrafią z panami — dorzucił sentencyonalnie Wawrzek Skornat.

— Nie miarkujecie kumie Jacenty—spytał niespokojnie Brodzik starego Guli—będzie dziś wypłata?

— Musi nie. Lejba pono do Mordki po pieniądze dla dziedzica biegał.

W oddali dzwonek zadźwięczał.

Chłopi wyteżyli wzrok ku drodze.

— Wójtowa kobyła i kasztan, co go przed go-dy od proboszcza wójt kupił...—ozwał się Koszubek. —Juści do naszego dziedzica jadą..

Zielono pomalowane sanki i para wypasionych koni okrzyły zajazd, zatrzymując się przede dworem.

— Dziedzic w domu?—zapytał wójt.

Chłopi pokłonili się do ziemi.

— Ponoć doma, ino śpią—raportował Gula.

— Obudzimy go! — rozśmiał się wójt i wyskoczył z bryki.

Magdzińska, gospodyni, z okna nadjeżdżających spostrzegła.

— Wojtek! ruszaj duchem do pana...—krzyknęła na chłopaka, baraszkującego z dziewczuchami.

Wojtek, gdy go do koni nie potrzebowano, pełnił funkcję lokaja.

— Nie pali się...—mruknął z gniewem.—Butów jeszcze nie czyściłem... Boso dziedzic nie będą chodzili.

Gospodyni schwyła się za głowę.

— O ja nieszczęśliwa! A niechże cię kara Boska, nygusie, a toś mi narobił!... — jęczała, uganijając się z miotłą za chłopakiem. — Ruszaj mi do pana duchem.

Wojtek obejrzał się za butami, wyklócił o szczotki, które mu dziewczki przez złość po kątach chowały, gospodyni pokazał zęby zdrowe jak u młodego wilka i powolnym krokiem wyszedł do sieni.

— Czego się kręcisz, niedołego! — krzyknął Pistuliński, zoczywszy w pokoju chłopaka. — Wyspać się nawet nie pozwolicie, gałgany!

— Wójt przyjechali — mruknął obojętnie Wojtek, przyzwyczajony do tego, że Pistuliński zwykle o chrzestnem jego imieniu zapominał.

— Wójt? Bodaj kark skręcił!...—zawołał zrywając się z łóżka Sewerek.—A to niczem zimna ką-

piel przy wstawaniu, jak Boga Kocham! Cóż mi podajesz, gapiu, biały krawat? Marynarka wyczyszczona? A niech was najjaśniejsze! Sprawię ja ci lanie, poczekaj!

Wojtek kręcił się po pokoju, podawał rozmaite przedmioty, lecz nigdy na właściwy trafić nie mógł.

Rozdrażnienie Pistulińskiego wzrastało i wreszcie skończyło się na tem, że chłopak w kark dostał i wyleciał za drzwi.

Ulżyło to Sewerkowi.

— Szanownego, kochanego p. wójta!... — wołał, ostentacyjnie witając potem wójta, który w stołowym pokoju odpakowywał swoją osobę z szalów, szalików, algierki futrzanej i olbrzymich niedźwiedzi.— Że się to panu wójtowi chciało na taką niepogodę.

— Cóż pan chcesz od pogody? Mróz wprawdzie siarczysty, aleć od tego i zima — odparł wójt, przecierając okulary.—Zresztą, służba nie druźba, kochany panie!

Sewerek coraz uprzejmiejszy fotel mu miękki podsunął.

— Jakże zdrowie pani wójtowej dobrodziejki? W lecie, to przynajmniej człowiek od kaszlów i katarów wolny.

— Dziękuję za pamięć...

Wójt tekę z papierami przed sobą położył i z powagą siadł w fotelu.

— Wojtek! — krzyczał na chłopca Seweryn. — Konie pana wójta do stajni, obroku ile zjedzą! Samowar! A powiedz gospodyni, aby bigosu odgrzała... Duchem... Bodajesz go nie strawił... szepnął do siebie,

dławiąc się gniewem, bo już po tece poznał, co wizyta wójtowska ma na celu.

— Możebyś pan i po sołtysa posłał—rzekł wójt.
— Czasu mam niewiele.

Śniadanie wnet podano.

Gościnnie gospodarz do wójta przepijał, półmisk z bigosem podsuwając; wójt wciąż kwaśną minę miał, bo mu się zdawało, że urząd jego takiej wymaga.

— Nabzdyczyła się małpa... — myślał Seweryn, siląc się na uprzejmość.

Nadszedł sołtys.

— Hm! — ozwał się wójt, podnosząc się z fotela — trzeba nam do roboty... Musimy pana opisać, kochany p. Pistuliński. Pięćset rubli się należy za podatki. Naczelnik ściągnąć kazał. Chyba, że pan płacisz?...

— Cóż tak pilnego?

Wójt uśmiechnął się chytrze i zerknął na sołtysa.

— Może się naczelnik boi, że później nie byłoby co opisać... — odpowiedział. — Marna krestencya na tym Pistulinie, kochany panie!

Poszli do stajni, do obór, do stodół; wójt sapał, krzywił się... Nie było co, Bogiem a prawdą, opisywać. Pistuliński w dodatku mrugnął na ekonoma, więc podczas śniadania to i owo uprzątnięto.

— Kochany p. Pistuliński—rzekł wójt, gdy do domu wrócili—rady innej niema, tylko trzeba będzie i mebelki... Z tego cośmy w inwentarzu żywym i martwym znaleźli 500 rs. nie zbierzemy. Służba nie družba!... Co z góry kaza, robić musimy.

— Niech pan wójt opisuje nie tylko meble ale i moją osobę, jeśli wam się na co przyda — mówił, ledwo się hamując, Seweryn.—Duszę byście z człowieka wydarli...

— Kanapa włosiem kryta, czarna, dwa fotele, sześć krzeseł, stół okrągły, mahoniowy...—recytował wójt pisząc —Zegar stołowy, antyk...

— Co? To już i do pamiątek rodzinnych się bierzecie?—spytał Seweryn.

Wójt się uśmiechnął.

— Hm! Pamiątki, cenna rzecz! Ale pan do brodziej, o ile mi się zdaje, postępowy. Toż i Pistulin pamiątka, a krucho z nim.

Seweryn się zaczerwienił.

Wójt odjechał wreszcie. Pod koziołkiem dopraszały się gwałtem o swobodę dwa tuczone indory które grzeczny Pistuliński posyłał w darze pani wójtowej.

Rozgoryczony, zły na wójta, na świat cały, biegł teraz po pokoju, chcąc nerwy wzburzone uspokoić.

— Ile to kłopotów, ile udręczeń z gospodarstwem, z podatkami, ratami. A mieszczuchom się zdaje, że obywatelom być, gospodarować na wsi, to już niczego do szczęścia nie brak. Niechby sprobowali! I co ja teraz pocznę? Znikąd pięciuset rubli nie dostanę, a już mi tę resztę chudoby sprzedadzą, choć w łeb sobie pal!... Kością mi w gardle ten Pistulin stoi. Pamiątka! Śliczna pamiątka! Worki z dukatami, to pamiątki. Teraz właśnie pora, żeby się bawić w romanse z przeszłością, kiedy terażniejszość bokiem wylazi.

Wykrochmalony czepiec Magdzińskiej ukazał się we drzwiach.

— Czego?—burknął Seweryn.

— Chłopi czekają od rana z kwitkami...—szepnęła gospodyni słodziutko.

— Niech idą do dyabła! Kije mogą dostać zamiast pieniędzy.

Magdzińska z udanym przestraczem przymrużyła oczy.

— Słusznie, słusznie!—potwierdziła. — To takie namolne chłopstwo... Choćby i ten rzeźnik z Kleczewa. Odporu nie daje. Furmankę najął, a przyleciał. Możeby pan dziedzic mógł kilka rubli... Już trzy kwartały nie płacone mięso.

— Ileż tam tego?—spytał Pistuliński.

— Sześćdziesiąt rubli...—skromnie odparła gospodyni.—Mięso drogie, na kredyt się bierze... Same wybierki dają. Taki już naród niepoczeiwy.

Pistuliński stanął jak wryty.

— Magdzińska chyba żartuje? A toż byłbym olbrzymem, mięsożercą nadzwyczajnym, żebym ja za sześćdziesiąt rubli mięsa zjadł?

— Przez trzy kwartały p. dziedzicu.

— Joskowi za baranię piętnaście rubli zapłaciłem niedawno... Gęsi się rżnęło i kury i kaczk...—irytował się Sewerek.—Wy wszyscy aby tylko z kie-szeni wypędzać potraficie. Niech Magdzińska odprawi rzeźnika. Dziś nie płacę.

Gospodyni stała zafrasowana.

— Sądem grozi...—odparła.

— Bodaj was najjaśniejszel!—krzyknął Pistuliński i niedokończył, bo wpadł Wojtek z pośpiechem, że goście przyjechali.

— Z miasta, proszę dziedzica... — raportował chłopak. — Najętym żydem się przywlekli... koniska bokami robią.

— Gość w dom, Bóg w dom...—ozwał się rubaszny głos Dyrdyńskiego i, nim Pistuliński oprzytomniał, już ręka jego trzeszczała w powitalnym uścisku pana Kleofasa. Za nim wszedł p. Jakóbski.

— No i co pan na to, żeśmy ci tak z nieba spadli?—mówił Dyrdyński, bawiąc się zakłopotaną miną gospodarza.—Ani się kot pewno nie mył, ani sroka nie skrzeczała, a taki jesteśmy. Pan Jakóbski powiada do mnie dzisiaj rano: „Do Pistulina jadę“... A ja mu na to, nie namyślając się: „pojedziemy razem“. Co się rzekło to i wykonało.

— Że to panowie w taką niepogodę...—odezwał się zgruchotany Seweryn, z uprzedzającą grzecznością ściiskał jednakże dłoń Jakóbskiego i siadać prosił.

P. Wojciech Jakóbski w pugilaresie na pierśsiach nosił rewersik Pistulińskiego na wcale pokazałą sumkę. Czekał, czekał, upominał się, sprzykrzyło mu się wreszcie.

— O ile jestem chrześcianinem — rzekł—o tyle z wolą Pana Boga naszego miłosiernego zawsze się zgadzam. Pogoda, niepogoda, trudno! Gdy chodzi o interes... Panowie, którzy pożyczają, są bardzo niegrzeczni... Potrzeba im się ciągle przypominać.

— Ba!—zaśmiał się Sewerek, udając wesołego. — Łatwiej pożyczyć, niżeli oddać...

Żywe oczki Jakóbskiego obiegały pokój coraz szybciej. Uspodobienie już takie miał, że wszedłszy do mieszkania którego ze swoich klientów, najpierw graty taksował.

Dyrdyński tymczasem rozporządzał się jak u siebie w domu.

— Gospodynię macie?— spytał Wojtka czekającego przy drzwiach na rozkazy.

— A juści!— odparł tenże i oczy mu się zaśmiały.

— I kury macie?

— Toć są. Kokochoy jak indyki spasiono.

— A jaja? — indagował stary filut, bawiąc się głupowatą miną chłopca, który przy ostatniem pytaniu pięść w usta wpakował, by głośnym śmiechem nie wybuchnąć.

— To powiedźże gospodyni, koniu Pana Jezusa, aby nam jajecznicy z kielbasą usmarzyła i piwa zagrzała ze śmietaną i serem. Żywot!

— Bobys się już ożenił panie Pistuliński— zwrócił się do Sewerka.— Co to warte kawalerskie życie! Niewygoda, golizna! W kawalerskiej kieszeni, wiadomo, że grosz się nie utrzyma.

— O ile jestem chrześcianinem— zaczął z powagą Jakóbski — o tyle radbym, aby się wszyscy moi klienci żenili. W domu familijnym, że tak powiem, byłoby przynajmniej po wyroczku co wziąć... Wyroczek, po sprawiedliwości Bożej, zawsze dla mnie pomyslny bywa.

— Pijawka!— szepnął z pogardą Sewerek.

Jakóbski do pugilaresu zajrzał. Grzebał się w

nim długą chwilę, wreszcie papier wydobyl i, podając go Pistulińskiemu, rzekł:

— Przykro mi, że tak powiem, ale zmuszony byłem i na pana dobrodzieja wyroczek uzyskać.

— Chciał panu komornika wieść— wtrącił Dyrdyński.— Ledwom uprosił.

— Cóż tak pilnego? — przemówił gryząc wąsy Pistuliński. — Wszak pan ma wszelką pewność. Pistulin...

— O! przerwał Jakóbski — o ile jestem chrześcianinem, że tak powiem, o tyle na Pistulina złapać się nie dam.— Co on wart? Towarzystwo weźmie go, jak swoją własność...

— Ale jeszcze nie wzięło — mruknął, hamując się, Pistuliński.

— Więc pan dobrodziej żąda, abym zaczekał, aż weźmie? Na to się zgodzić nie mogę. Powiedziałem panu Dyrdyńskiemu: albo pan płaci dobrowolnie, albo zmuszony będę inaczej...

Sewerek pojął nareszcie, że teraz już nie wywinie się lichwiarzowi. Zląkł się! Za wiele bo naraz zważyło się na jego głowę, która w dodatku myśleć nie umiała. Dalej tedy w prośby i układy z Jakóbskim. Dyrdyński pozornie bronił sprawy, lecz w istocie pomagał Jakóbskiemu. Po długich sporach stanęło na tem, że za miesiąc Pistuliński obowiązuje się wypłacić połowę sumy, a w trzy miesiące potem dopełni reszty.

— Ciekawym, jakim cudownym sposobem temu bałwanowi z wypchaną wyroczkami kieszenią 400

wypłacę za miesiąc...—myślał Seweryn, klnąc w duchu Jakóbskiego i Dyrdyńskiego.

— To pański pomysł, wizyta Jakóbskiego — rzekł Dyrdyńskiemu, korzystając z nieobecności lichwiarza, który poszedł zdrzemnąć się po obiedzie.

— Panbyś wolał, żeby komornik był przyjechał, co? Pan sobie żarty stroisz, dalibóg! — perorował p. Kleofas.—Niechże się pan zastanowi: Luty się zbliża, a pieniądze gdzie? Towarzystwo nie poczeka i Jakóbski po miesiącu się odezwie i ten i ów... Jak panu te mrówki za kołnierz wleżą, będzie gwałt! Słyszałem, że o p. Sabinę Skrodzki chce konkurować.

— Który? Ten z Jaźwina? Co, co, co? Pleciesz, p. Kleofasie, jak na mękach.

— Nie plotę. A ra męki toś mnie pan istotnie wziął. Dalibóg, wytrzymać trudno! Skrodzki głośno mówi, że mu się panna podoba. Chyba wolno każdemu...

— Wolno, wolno!—śmiał się Seweryn.—Takie ananasy, czemuż by nie? Wiesz pan, kulig się szykuje u Mordalskich w kostiumach. P. Jaworzewska będzie panną młodą, a ja panem młodym. Zabawa się uda z pewnością.

— Co tam panu do Jaworzewskiej... — odparł niechętnie Dyrdyński.—Ani pan dla niej, ani ona dla pana. Dziewczyna, słyszę, od dzieciństwa chorobę jakąś ma... Taniec św. Wita, czy coś podobnego...

— Żartuj pan zdrów! Głupiby panu uwierzył. To już pewno panny Sabiny wymyśl.

Dyrdyński się obraził.

— Z panem to niema co i mówić, dalibóg!—rzekł z godnością.—Najlepsze chęci i praca idą na marne. Pana dopiero bieda nauczy. Jak Pistulin dyabli wezmą, nawet takiej ubogiej Jaworzewskiej nie dadzą panu. Ha! co posiejesz, będziesz zbierał.

Pod wieczór dopiero nieproszeni goście z powrotem zbierać się raczyli. Nietrudno było namówić Pistulińskiego, aby pojechał także, boć łatwiej humor między ludźmi odzyskać. Światła już w miasteczku zapalano, gdy roгатkę przejeżdżali. Mróz tęgi chwycił, Sewerkowi wąsiki sterczały jak drewniane. Zatrzymali się tedy przed Fiszlem, bo Dyrdyński czegoś się na rozgrzewkę dopraszał.

Pistuliński rad był temu. Przy kieliszku najłatwiej smutek odegnać.

Płomienne oczy Fiszlowej strzeliły ku niemu brylantowym blaskiem. Sewerek przyjął to obojętnie. Gorycz zalewała mu piersi. Przy lampce węgierskiego Dyrdyński spytał:

— Cóż pan dziś powie panie Sabinie? Mówiłem, że pan przyjedzie, i czekają z herbatą. Kto wie, czy Skrodzkiego tam nie będzie? Trzebaby go uprzędzić. On myśli poważnie i szybko kończy...

Usłużny Fiszleł drugą butelkę wina na stoliku postawił.

Seweryn, który zarówno do kobiet, jak i do wina skłonność czuł, pociągnął lampeczkę jedną i drugą, aż mu się pod czupryną dziwy przedstawiać zaczęły. Widział się wyrzuconym z Pistulina hen, hen daleko, na jakąś pustynię, gdzie jak liściem opadłym

z drzewa miotał wichur na wsze strony, że Jakóbski, Lewi i tyłu, tyłu innych szarpia go, nęka ją, a ta śliczna Kazia Jaworzewska śmieje się i naigrawa z jego nędzy.

Panna Sabina występowała za to jako anioł pocieszyciel, sypiąc dukaty z rogu obfitości i, gdziekolwiek hojna jej dłoń się zwróciła, czarne duchy odstępowały od niego, grzecznym uśmiechem wyjaśniały się oblicza. Ani przypuszczał, że skołatany wypadkami dnia ubiegłego umysł poddawał się biernie dowodzeniom Dyrdyńskiego, że widziadła one są tylko odbiciem tego, co mu tamten w uszy kładł.

Jak się to stało, że znalazł się potem na herbatce u Sadzikiewiczów, pannę Sabinę w rękę całował, powtarzając po wielokroć, jak ją gorąco kocha, kto mu kosztowny pierścień na palec włożył, nie wiedział wcale, gdy nazajutrz przebudził się w hotelu, z ociężałymi powiekami, niesmakiem w ustach i bolącą głową.

„Corpus delicti“ zaręczyn wczorajszych tkwił mu na palcu, migocąc kolorami tęczy. Seweryn, aczkolwiek kosztowności rodzinne dawno już żydom przehandlował, znał się atoli na wartości kamieni. Brylant był duży.

Seweryn zrazu obojętnie, zaspanemi oczyma wpatrywał się w niego, w miarę atoli, gdy zimowe, jaskrawe słońce rozpalalo w kamieniu coraz cudniejsze blaski, snuć począł złocistą przedzę marzeń.

Cóż z tego, że jego narzeczona nazywa się Sadzikiewiczówna... Kto będzie o tem pamiętał, czyta-

jąc na biletach wizytowych: Sabina Pistuła Pistulińska. Pojadą zagranicę po ślubie, oczyśczą Pistulin i, niech tam potem Sabina gospodaruje, a on trochę świata użyje. Pieniądz daje spokój, rozkosz, szacunek ludzki... Albo to on, Seweryn, nie zna takich, którzy sercem i cnotą i honorem frymarczyli, a przecież szacunek i uznanie ogólne posiadają. Choćby taki Larski z Łodzikowa. Ród stary, tyłu antenatów liczy, a on, przegrawszy w karty swoje i cudze, ożenił się z panną, którejby nawet uczciwy szewc nie chciał. Jaką drogą do olbrzymiej fortuny doszła, wszyscy wiedzą, lecz złoto pokryło grzechy przeszłości i świat olśniony, pokorny, gnę się przed nią w ukłonach... Sewerynowi elastyczność sądów i zapatrywań ludzkich dziwnie trafiała dzisiaj do przekonania.

Wejście Dyrdyńskiego przerwało tok jego myśli. Promienne oblicze fatora rozgniewało Pistulińskiego.

— Cóż pan się tak uśmiechasz? — spytał, przeciągając się leniwie na łóżku. — Jeszcze do ołtarza z pańską protegowaną nie idą. Głupstwo takie zaręczyn!...

Pan Kleofas mrugnął filuternie okiem.

— Oczywiście, oczywiście! — Któż temu przeczy? Od ołtarza ludzie się rozchodzą...

Potakiwał Sewerkowi, wyciągając z kieszeni paltota grubo wypchany pugilares.

— Tak mi od tych katarzynek napęczniał, że aż mu się boki rozpruły...—mówił, pokazując go Sewerynowi.

— Okradłeś pan kogo, czy co?—zartował Pistuliński, z lubością przyglądając się tęczowym papierkom.

Wnet rzecz się wyjaśniła. Dyrdyński delikatnie, oględnie opowiedział, jako Sadzikiewicz, po ojcowsku sobie poczynając, 100 rubli na wydatki niezbędne przyszłemu zięciowi przysłał.

— Pewność mu pan o zajęciu na podatki powiedział?—rozgniewał się Seweryn.

— Nie powiedziałem—zarzekał się stary.—Żydzi mu powiedzieli. Oni słyszą, jak trawa rośnie... Dobrze zrobili. Podatki najpierw zapłacić trzeba, aby szykany unikać. Z tym ciężarem na karku panu młodemu wcale nie do twarzy. Wie pan, Sadzikiewicz chce w zapusty weselisko wyprawić.

— Czemu nie dziś?—mruknął Seweryn. — Pali mu się pod piętami...

— Mówi, że odrazuby regulował interesy Pistulina, hypotekę oczyścił, a na wiosnę grunta się chłopom z dzierżawy odbierze i gospodarstwo, panie do brodzieju, pójdzie na wielką skalę.

Seweryn milczał zamyślony.

— Dom trzeba meblować...—ozwał się po chwili.—Wydatki ogromne!

— To nie pańska kieszeń ani głowa. Panna Sabina z Warszawy od najpierwszego tapicera meble będzie miała. Ona ma gust i na panią stworzona. Rozmowa w ten sposób zagojona, ożywiła się. Dyrdyński w takich jasnych kolorach przedstawił przy-

szłość, że Seweryn udobruchany, rozweselony, dał się poprowadzić na obiad do narzeczonej.

Sadzikiewicz, który ranek cały spędził na odwiedzeniu znajomych, zaręczynami córki wojcowskiej swej dumie mile polechtany, humor miał przedziwny i przy obiedzie wciąż zdrowie narzeczonych wnosił.

— Sabcu, słuchajno—mówił podchmielony—będziesz miała męża, panie kochający, szlachcica rodowitego i herbowego. Takiego korpusa, panie kochający, tylko w ramki oprawić...

— Pan daruje...—zwróciła się do narzeczonego zarumieniona Sabina. — Ojcu się zdaje, że jesteśmy w swoim kółku, en famille...

— Oczywiście, że famielia... — potwierdził, kiwając głową, Sadzikiewicz. — Wiesz, Sabcu, ten hul taj Dyrdyński dwa tysiące rubli wyszachrował ode mnie. Pani Pistulińska—mówi—obywatelka ziemska, powinna mieć wszystko recht...

— Correct!... —poprawiła, gryząc wargi, Sabina. — Czy ten obiad nigdy się nie skończy?... — myślała z głuchą rozpaczą.

— Papa Sadzikiewicz—marzenie! — śmiał się potem Seweryn do Dyrdyńskiego, który, dla lepszego, jak twierdził, porozumienia się w interesach, odwoził go do domu. — Za pieniądze można by taki korpus pokazywać.

— Z pewnością! — odparł Dyrdyński. — Długi przyszłego zięcia jeszcze przed ślubem płaci, majątek oczyszczą, ulepszą...

I tem mu usta zamknął.

Po długich ceregielach ze strony Seweryna, który ślub do lata chciał odwlec, udało się wreszcie Dyrdyńskiemu ostatnią karnawałową Sobotę wytargować. Panna Sabina wyłącznie od siebie obiecała mu piękny i kosztowny prezent, więc tyłoma argumentami Pistulińskiego zasypał, że tenże z dziwną desperacją rzekł:

— Masz pan rację! Mam się topić, czy wieszać, to już odrazu lepiej...

Od dnia zaręczyn wciąż był w złym humorze. Dokuczala mu przede wszystkim serdecznością i uprzejmością cała rodzina Sazdikiewiczów; przyczepili się do niego, jak pijawki. Niechno się tylko w mieście pojawił, dalejże mu towarzyszyć w domu i na ulicy, aby przecie wszyscy widzieli. A w szczególności Kostek. Chłopak lat szesnastu, rozpieszczony przez rodziców, leniwy i zarozumiały, zadzierać począł nosa jakgdyby to on sam był Pistulińskim. Naukę zaniedbał, wciąż na lekcyach rysując herby przyszłego szwagra i opowiadając każdemu, kto go rodził, kto mu brat, kto dziadek, pradziadek i t. p. I w domu chciał odrazu wszystko przeistoczyć.

— Niechno mama uważa na siebie — mówił do matki. — Mama się tak ubiera, jak kucharka. I po co mama ciągle w sklepie siedzi? Przyjąć sklepową i Pistulińskiego nie kompromitować. Mogłaby też mama powiedzieć ojcu, aby mi nowy mundur sprawił. Jakie to sukno ordynarne, proszę zobaczyć. Albo i zegarek. Myślałem, że się spalę ze wstydu, kiedy Pistu-

liński moją posrebrzaną cebulę zobaczył. Ojciec zapomina, że ja już nie jestem dzieciakiem.

Więc przy sposobności Sazdikiewiczowa rzekła do męża:

— Kostek prosi, abyś mu zegarek kupił złoty.

— Zwaryowałaś, Brygisiu! A pamiętasz, kiedy ja sobie zegarek złoty kupiłem?

— To wcale co innego. Zobaczysz, Adamie, jaki to panicz z tego Kostka wyrośnie. Do złudzenia Pistulińskiego naśladowuje. Zresztą tyś nie miał niko-go herbownego w rodzie, a teraz skoro Sabcie Pistuliński weźmie, to i księżęta i hrabiowie...

— Wszystko gołe panie kochający, wszystko gołe korpusy — wtrącił tryumfująco Sazdikiewicz.

Sazdikiewiczowa obejrzała się z przestraszeniem.

— Niechże Sabcia nie posłysz, mój Adamie. Ona tak już dba o honor swojej przyszłej famieli... Zresztą mój kochany, chociażbyś ty ze sto kamienic i tyleż składów wędlin posiadał, niczem nie będziesz jeno Sazdikiewiczem. Taki Pistuliński długi ma, a wszędzie go wywyższają i szanują. Ot widzisz!

Argument ten przekonał Sazdikiewicza. Kostek dla honoru przyszłej famieli otrzymał złoty zegarek i nowy mundur.

VII.

Dnia pewnego wybrał się Pistuliński z wizytą do proboszcza. Od rana desz padał i źle brukowane ulice miasteczka zamieniły się w błotne jeziora. Pistuliński szedł zamyślony; opadły go wspomnienia. Na plebanii Kazię Jaworzewską po raz pierwszy ujrzał. Rzecz dziwna, ale przy wspomnieniu tem uczył ciepło w piersi przyjemne, nieledwie rozkoszne. W ganku powitał go wesołym skomleniem sokół, faworyt proboszcza; w sieni nie spotkał nikogo, więc wszedł do stołowego pokoju. Wszedł i osłupiał zatrzymał się u progu. Przy stole zarzuconym różnobarwną bibułką, siedziała panna Kazimiera, wycinając listeczki i okręcając na drucikach róże, maki, piwonie. Spłoniona, zmieszana dziewczyna zerwała się z krzesła.

— Ksiądz proboszcz pojechał do chorego... — wyrzekła szybko. — Pani Rosińska w odwiedzinach poszła.

Seweryn posunął się ku niej. Błogosławił krewną proboszcza, że mu ułatwiła sam na sam z Kazią. Usiadł przy stole.

— Pani kwiaty robi? — nieśmiało spytał. — Pewno do kościoła. Że też ja nie wiedziałem, że pani tu bywa.

Nie zdejmował z niej zachwyconego spojrzenia.

Jakąż mu się wstrętną Sabina przy porównaniu z Kazią wydała.

— Bałwan jestem! — pomyślał z goryczą. — Swobodę, honor, serce wszystko dla marnego grosza sprzedałem, dla tych talarów, które papa Sadzikiewicz na wieprzach zebrał. Brzydę się Sabiną, a przecie muszę powiedzieć przy ołtarzu, że jej miłość ślubuję. A tu przedemną takie śliczności!

Przysunął się do Kazi.

— Czemu to pani ucieka zawsze, gdy się w sieni lub w mieście spotkamy? — spytał, patrząc jej w oczy błagalnie.

Kazia, jak ptasze spłózone, odsunęła się od niego.

— Alboż uciekam? Panu się coś zdawało...

— I teraz się pani usuwa... Czyż ja taki straszny jestem? Panno Kazimiero!

Chciał ująć jej rękę, Kazia zerwała się z krzesła.

— Muszę pójść do domu — odezwała się zmieszana.

Lecz Seweryn zbyt długo czekał na tę sposobność.

Patrząc teraz na Kazię, czuł, że żadna jeszcze kobieta nie czyniła na nim takiego wrażenia, że ją jedną mógłby ukochać wiecznie, że gdy ją widzi, myśli jaśniejsze, lepsze roją mu się, pod czaszką. Cóż go obchodzi Sabina, Pistulin, świat cały prócz tej dziewczyny drżącej, zapłonionej.

— Panno Kazimiero, droga panno Kazimiero!...

Nim się opamiętała, uwięził ręce jej w uścisku.

— Niech mnie pan puści!...

— Życiebym oddać wolał...

Przycisnął do ust jej palce i szeptał:

— Żadna mi się tak nie podobała... Niech mnie Bóg skarże, jeśli mówię nieprawdę!

Wpatrywał się w nią błagalnie, z pokorą.

Dziewczynę ogarnęło wzruszenie.

Zdawało jej się, że w oczach Seweryna czyta potwierdzenie słów gorących i on może lepszym jest, niż sądziła, a do poślubienia Sabiny pcha go konieczność, bieda. Lecz jednocześnie pomyślała, iż nie powinna go słuchać, ani pozwolić, by ręce jej całował, skoro jest narzeczonym innej.

Zręcznym ruchem odsunęła się od niego i pomknęła ku drzwiom.

— Żegnam pana!—zawołała, chwytając klamkę.

—Z całego serca powodzenia życzę.

I wybiegła.

Seweryn stał na środku pokoju, jak wryty.

Chciał biedz za nią... zatrzymać... Zrobiło mu się naraz duszno w tym obszernym pokoju, obco i smutno. Nie czekając powrotu proboszcza, uciekł.

Kazia wracała do domu podrażniona.

— Po co on mi to wszystko mówił...—irytowała się.—Odtąd muszę go starannie unikać.

Dziwną jej się wydała lekkomyślność jego i ta chęć zdobycia pieniędzy za cenę najdroższych dla człowieka uczuć.

— I to się nazywa mężczyzna!—szepnęła nieledwie z pogardą i sympatya, jaką chwilowo dla niego czuła, zniknąć zaczęła, szybko ustępując miejsca lito-

ści. Już koło domu spotkała Sabinę z Krysią; trzeba było przystanąć i przywitać się...

Sabina z miną wyniosłą podała jej rękę i nienawistnym spojrzeniem obrzuciła ładnie uformowaną figurkę Kazi i świeżemi rumieńcami oblaną twarz...

— Gdzież to p. Kazimiera biegła? — odezwała się jakby przecuciem tknięta.

— Na plebanii byłam.

— Aaa!

Zacisnęła wargi.

— Czy znów jaki obrus dla św. Antoniego p. Kazimiera haftuje? — spytała, opanowawszy wzburzenie.

— Proboszcz prosił o kwiaty z bibułki... Spotkałam tam właśnie p. Pistulińskiego—mszcząc się za ton wyniosły odparła Kazia.

Sabina uśmiechnęła się zjadliwie.

— To dziwne, że dziś dopiero nabrała pani chęci do robienia kwiatów... Rachowała pani na pomoc mego narzeczonego, ale wątpię, czy on się zna na kwiatach...

— Jakaś ty zabawna! — roześmiała się Krystyna.—Skądże ona mogła wiedzieć, że twój gagatek do proboszcza pójdzie...

I ją ton Sabiny podrażnił. Zanosilo się na sprzeczkę, bo Kazia była purpurowa i Kryskę gniew na siostrę poczynał unosić.

— Pójdzmy! — zawołała, pociągając Sabinę. — Widzę już, że masz ochotę do Kazi się przyczepić. To nie pierwszyczna.

Mrugnęła na Kazię, rzuciła jej całusa, a wskazując siostrze zbliżającego się Dyrdyńskiego, rzekła:

— Już ten dziad idzie. Oczywiście do nas. No, tom ja ci, Sabciu, nie potrzebna, bo to twój gość... Pójdź, Kaziu!

Dyrdyński kłaniał się już zdaleka.

Sabina wdzięcznym uśmiechem okrasila twarz i pociągnęła go do sklepu.

Za kontuarem siedziała Sadzikiewiczowa. W sklepie nie było nikogo, więc rozmarzona ciszą, zadrze-
mała.

— Co to? He? — pytała, otwierając zaspane oczy, a ujrawszy Dyrdyńskiego, zaniepokojonem spojrzeniem obrzuciła wianki świeżych serdelków, różowe szynki i salcesony.

Pan Kleofas na pulchnej, świecącej ręce wycisnął głośny pocałunek.

— Pani dobrodziejka tego... z Morfeuszkiem pannie dobrodzieju romansowała... — mówił, przyjmując się uśmiechając. — A Dyrdyński gruszek w popiele nie zasypiał, o nie! Dalibóg, prawda! Wie pani—zwrócił się do Sabiny—Pistuliński chce ślub odłożyć. Spotkałem go przed chwilą i dalejże pannie dobrodzieju, pertraktować ze mną o zwłokę...

— Co pan mówi?...—wykrztusiła z pobladłą twarzą Sabina.

Dyrdyński się uśmiechnął.

— A od czego moja dyplomacya? Co? Przeległa się pani, nieprawdaż? Ale to nie! Ja tego kochanego pana Seweryna trzymam, pannie dobrodzieju, za kołnierza.

— Ale bo jakże można...—odezwała się markotnie Sadzikiewiczowa—kiedy już wszystko ułożone... Czy to wypada świństwa takie z porządnymi ludźmi robić...

Dyrdyński pocałował ją w rękę.

— Nie wypada, pani dobrodziejko, nie wypada! Jak mi Bóg miły! Ale od czego Dyrdyński, sługa wierny i przyjaciel. Fatygi, starań nie pożałuję! Honorom ręczę, że p. Pistuliński ustąpić musi.

Spojrzał na wiszące na ścianie szynki i nozdrza mu się rozszerzyły.

— Z gustem poprobowałbym tej szyneczki, co rozpoczęta—rzekł, wskazując na leżącą na kontuarze szynkę.—Wydaje mi się soczysta i mięka.

Sabina podsunęła mu szynkę.

— Proszę, proszę! A może z musztardą?

Sadzikiewiczowa kilka zrazów różowej szynki położyła mu na talerzu.

Dyrdyński jadł z miną smakosza i wygłodniałego charta.

— Na Wielkanoc—da Bóg doczekać w zdrowiu i życiu—od p. Pistulińskiej z Pistulina szyneczkę dostanę...—mówił stary filut, mrugając ku Sabinie.—Co? Zgadłem? A tymczasem wezmę kawałek szyneczki dla mojej Kundusi. Jaka to godna niewiasta, jaka to matka!

Zwrócił się do Sadzikiewiczowej!

— Czy pani myśli, że ona ten kawałek szynki zje? Gdzież tam! Dzieciom odda! Temu tyle, tej tyle... Takie już serce pocziwe!

— Wiadomo. Jak każda matka—wtrąciła cierpko Sádzikiewiczowa. Przeczula zamach już nie na kawalek, ale na całą szynkę.

Dyrdyński głową pokręcił.

— I takie matki bywają, które jeno o sobie myśla—odezwał się sentencyonalnie.—A nawet jej kazali doktorzy szynkę surową jeść, że to na siłach dużo szwankuje. Ale bo to człowiek ma na takie zbytki!

Sabina mrugnęła ku matce i starannie opakowana szynka w towarzystwie kółka kielbasy i salcesonu włoskiego powędrowała z Dyrdyńskim do domku na przedmieściu, gdzie w dwóch ciasnych pokojkach gnieździła się liczna rodzina pana Kleofasa. Życie mu zbiegło na szukaniu środków nadzwyczajnych, aby rodzinę tę utrzymać, bo z natury próżniak był i systematycznej pracy nie lubił.

— Pasorzyt!—powtarzał często Jaworzewski.

— Eże, jak Dyrdyński — mówiono powszechnie. P. Kleofas wiedział o tem i śmiał się.

— A cobyście bez Dyrdyńskiego robili?—pytał, mrugając filuternie okiem.

Sádzikiewicz twierdził, że Dyrdyński rozum ma, jak Napoleon.

VIII.

Tłumy zebrały się przed kamienicą Sádzikiewiczów. Karety stoją rzędem, na przedzie w siwe ko-

nie zaprzężona, z herbem na drzwiach, oczekuje na państwa młodych.

Gdy Pistuliński oznajmił, że na wesele zjedzie kilka osób z dalszej jego rodziny, bo bliższej nie miał, radość zagłuszyła wszelkie rozumowania. Nie zważano na kosztą, byle tylko uroczystość weselna z odpowiednim odbyła się szykiem. Usiłowano zatrzeć cechy mieszczańskie, okazać się ludźmi dobrego tonu, że się tego jednak nie nabywa tak łatwo, rodziły się z wysiłków owych śmieszne komplikacje. Z pozoru atoli wyglądało wszystko po pańsku.

Bąkowan olśnił przepych; rodzina pana młodego zmuszona niejednego sobie odmawiać, poglądała z zazdrością.

— Dobrześ się sprzedał, Sewerku—mówił Kuropatnicki, który zdawna ojcowiznę przeszedł i resztkami gonił.—Zazdroszczę ci, *parole d'honneur!*

Seweryn chmurny, skrzywiony popatrzył na kuchynia szydersko.

— Któż broni szczęścia probować? — mruknął, naciągając z dziwną zaciętością białe rękawiczki.

Tamten się roześmiał.

— Masz słuszność! Powiem ci nawet, że to doskonała manipulacja! Od czegoż taki papcio Sádzikiewicz i jemu podobni? Pracują, zbierają by nam wygodny byt zapewnić na wypadek, gdybyśmy się zdecydowali udoskonalić rasę... *Bene!*

— Przyjrzyjno się sylwetkom twojej przyszej rodziny, Sewerku!—ciągnął rozbawiony. — Okazy do uwiecznienia! Nie wyłączając tego Harpagona w

spódnicy, owej ciotuni dobrodziejki, która kęski tortu znikające w ustach gości, rachuje. A milczy, jak ryba! Z rozkazu władzy wyższej, oczywiście. Papa piramidalny, *parole d'honneur!* Mamunia delika'esik...

Cmoknął wargami, a wtem z sąsiedniego salonu nadbiegła Kryisia rumiana i uśmiechniona.

Koźuchowicz szepnął jej przed chwilą, że choćby musiał z całym światem wziąć się za bary, nie odda swojej dziewczyny nikomu. To ją tak rozrałowało.

Kuropatnicki zapatrzył się na nią. Przyjechał przed godziną i nie miał jeszcze sposobności poznać zajętych ubieraniem się pańien.

— Sewerku, ktoto? — pyta żywo. — *Per amor di Dio!* poziomka, malina! Świeżość polnego, czy leśnego kwiatu...

Pistuliński się uśmiechnął.

— Widzisz jakie to pączki tu się hodują—rzekł. — Toż młodsza Sadzikiewiczówna, szwagierka moja...

— Sadzikiewiczówna? *Per bacco!* Anim przypuszczał! Czemużeś tej nie wybrał, człowiecze? Gdzieś oczy podział?

— Ba! — skrzywił się Sewer. — Ta po ciotce chrzestnej nie dziedziczy.

— Aaa! Wcale brzydka kombinacya! Przedstawże mnie, mój drogi!

— Panna Kryisia, jak motylek fruwa—odezwał się Pistuliński, zatrzymując dziewczynę.—A oto kuzynek chce się przedstawić.

— Kuropatnicki Dyonizy!—rzekł tenże, kłaniając się z gracyą. — Szczęśliwy jestem nad wyraz

i służby moje powolne ofiarowuję kuzyneczee nadobnej.

Poglądał na nią z miną smakosza, gdy ulubioną potrawę na półmisku zobaczy.

Kryskę to mocno rozgniewało. Jeszcze jej w uszach brzmiały pocziwe Koźuchowicza słowa i krzywdą dla niego wydały jej się natarczywe spojrzenia Kuropatnickiego.

— El proszę pana! — odparła z udaną naiwnością—prędzej ja panu usłużę, gdy pan do naszego sklepu przyjdzie.

Dygnęła zręcznie i odbiegła.

— Phi!—skrzywił się Kuropatnicki — a to gąska! Czemużeś mi nie mówił, że to takie... takie swojskie...

Pokręcił wąsa znacząco.

— Nie zaszkodziłoby małej, gdybym ją nieco odpolerował... — rzekł. — *Per bacco!* Czuję chęć ogromną.

Seweryn stłumił uśmiech.

— Kryska mu pazurki pokaże—pomyślał, a głósno odparł:

— Probuji!

Odwrócił się od Kuropatnickiego i wzrok jego pobiegł ku Kazi Jaworzewskiej, uwijającej się między druhnami.

Druhen było dwanaście. Zaproszono Kazię, by zaokrągliła liczbę. Sabina nie potrzebowała się już o nią lękać, a że Jaworzewscy ród swój pono ze szla-

chty zagrodowej wiedli, więc i wstydzić się za nich nie było potrzeba.

Kazia z początku ani słuchać nie chciała, Jaworzewski się opierał, Jaworzewska, dążąca zawsze do zgody, namawiała gorąco. Rada była, że dziewczyna zabawi się, a może tam i inne jeszcze w macierzyńskim sercu budziły się nadzieje.

Jakże piękną wydała się Kazia Sewerynowi w białej tiulowej sukni, z niezapominajkami w warkoczu i przy staniku. Patrzył na nią długo gorejącymi oczyma, chcąc jej spojrzenie zwrócić ku sobie; dziewczę ożywione, swobodne unikało go widocznie.

Uroczyście, z miną napuszoną, poprawiając co chwila poły uciekającego w tył fraka, zbliżył się ku niemu Sadzikiwicz.

— Kochany zięciu — rzekł do Pistulińskiego — czas do kościoła jechać. Proboszcz pewno wymyśla, że się spóźniamy. Takie świętobliwe korpusy, panie kochający, czekać nie lubią.

Pistuliński zagryzł wąsa.

— Gotów jestem!

— No, to i Sabcia — chciałem powiedzieć — pani Pistulińska gotowa! A to korpus, panie kochający, trochę niecierpliw jest.

— Winszuję ci, *cher cousin*... — szepnęła Kuropatnicki, blademu z wściekłości Pistulińskiemu. — *Entre nous soit dit*, to ta twoja żonka na Ksantypę wygląda.

Sewer się zachnął i odszedł.

Kazia do swej białej sukienki przypinała wła-

śnie pęczek zielonych liści myrtu i pomarańczowego kwiecica.

Seweryn szybko się do niej zbliżył. Stała trochę na uboczu, Jadwigi w pobliżu nie było, Seweryn zebrał się na odwagę i, pochyliwszy się ku niej, spytał:

— Panno Kazimiero, czemu to pani nie przypięła mi ślubnego bukietu?

Kazia pod jego namiętmem spojrzeniem spuściła oczy.

— To do starszej drużny należy — odparła.

Seweryn milczał chwilę.

— Widzi pani — rzekł, — jak się to dziwnie na świecie wszystko układa. Tyle twarzy wesołych w okolo mnie, wszyscy mi winszują, są nawet tacy, co i zazdroszczą. A mnie jest tak, jak gdybym był na swoim pogrzebie.

Mówił tak smutno, tak jakoś od serca, że Kazia przychylniej spojrzała na niego.

— Niech pan oddała od siebie smutne myśli — szepnęła. — W dzień wesela nie godzi się...

Seweryna widok jej i łagodne spejrzenie rozmarzyło. Wobec jej niewinności i słodczy czuł dla niej nietylko uwielbienie, ale i bojaźń dziwną i szacunek.

— Pani podobno wkrótce do Warszawy wyjeżdża? Może się tam spotkamy.

— Wątpię! Państwo jedziecie bawić się, a ja pracować!

— Prędzej męża znaleźć...

Gorzko mu było, więc chciał jej dokuczyć.

Ale Kazia udawa, że nie słyszy. Seweryn westchnął głęboko, a w tem bukciek myrtu, snać niezręcznie przypięty, oderwał się od klapy fraka i upadł na posadzkę. Podjął go i rzekł:

— Panno Kazimiero! musi pani oddać mi teraz przysługę i umieścić to ziele w miejscu właściwem. Nie będę przecie szukał starszej druhny po całym domu.

Kazia niechętnie ujęła zieloną wiązanke i, nie patrząc na Seweryna, pochyliła się, przyspilażąc ją na nowo.

Pistuliński wyższy od niej, miał teraz prawie na piersiach głowę dziewczyny. Zapach jej włosów odurzył go; krew gorącą falą napłynęła mu do serca.

— Niech pani prosi Boga, abym ja o pani jak najprędzej zapomniał... — wyszeptał, korzystając z ogólnej wrzawy i zamieszania.

W szafirowych oczach Kazi błysnęła łza.

— Trzeba się nauczyć pracować i swój kawałek ziemi ukochać—odparła z powagą. — Rychło wtedy zapomnienie przyjdzie.

Ledwo słów tych domówiła, aliści upiór w postaci Jadwigi zatrzepotał różowemi u rękawów skrzydłami. Czerwieńsza od sukni, z błyskiem nieukrywanej zawiści w oczach, stanęła przed Kazią.

— Cóż państwo tak gruchacie?—spytała z przekąsem.—Sabcia czeka na pana.

Wsunęła rękę pod ramię oszołomionego Seweryna, pociągając go do dalszych komnat.

— Niech pan weźmie Sabcie i o błogosławieństwo prosi—szepiała, idąc. — Niech pan nie zapomni przed ciotką naprzód przykleknąć. Trzymała do chrztu Sabinę, więc należy się.

Seweryn zagryzł wąsa. Gniew nim miotał.

— Ani myślę!—odrzekł.—Do czego to podobne jakieś klęknięcia! Niedorzeczne formy, które chyba lud na wsi zachowuje.

Jadwiga przystanęła.

— Niech się pan ojca spyta.

Sadzikiwicz ciągnął właśnie Mordalskiego i Kuropatnickiego do bufetu; usłyszawszy, o co rzecz idzie, ofuknął córkę.

— Co się ty wtrącasz. Jadwisiu. Pan Pistuliński lepiej wie... U nas inne zwyczaje, u panów inne.

Mordalski uśmiechnął się złośliwie.

— Bywa i tak—rzekł, — że zamiast pan młody o żonę się pokłonić, jemu się kłaniają..

Grylska, siedząca obok, zasłoniła usta chustką.

— Moja ty!—zaczęła szybko paplać do siedzącej obok kuzynki Pistulińskiego.—Słyszała pani? To mu przyciął Mordalski. I ma słusność; po co to się piąć, moja ty!

W pośpiechu nie zauważyła, do kogo mówi; tamtą: „Moja ty“ oburzyło do żywego.

— W piękną sferę wchodzimy! — syknęła przez zęby.

Ukazali się wreszcie państwo młodzi. Seweryn gładził niecierpliwie czuprynę, którą mu powichrzyły

błogosławiące dłonie rodziców, ciotek i t. p. Panna młoda promieniała dumą i szczęściem.

— Możemy jechać! — odezwała się wyniośle, przybierając tony damy wielkiego świata.

Rzucono się do powinszowań, uścisków. Ale że to przeważnie sfera, z którą pani Pistuła Pistulińska z chwilą zamążpójścia zrywała, więc usuwała się zręcznie od wylewów czułości, mówiąc:

— Czas do kościoła jechać, kochani państwo!

A Grylska, posłyszawszy to, rzecze do sąsiadki:

— Moja ty, jak jej to do męża śpieszno, Wstydzilaby się!

Lecz wnet się w język ugryzła, bo obok niej stała czerwona z gniewu Sadzikiewiczowa.

— Do kościoła, do kościoła! — wołał Sadzikiewicz. — Panu młodemu chciałoby się swój korpus pocałować, a przed ślubem niewolno. Prawda, Sabciu?

Wśród ogólnego śmiechu wyruszono do kościoła i w niespełna godzinę p. Sabina Sadzikiewiczówna została panią Pistuła-Pistulińską.

— Najstarszy korpus początek dobry zrobił — powtarzał przy kolacyi weselnej dobrze już podchmielony Sadzikiewicz i mrugał oczami w stronę Krysi, którą aż nadto widocznie kokietował Kuropatnicki.

Siedzący naprzeciw Kozuchowicz sztyletował go spojrzzeniami.

Seweryn ukradkiem przyglądał się Kazi i twarz jego posepniała coraz bardziej.

— Ach, gdyby się ta szopka skończyła jak najprędzej! — mruknął do Sabiny, pożerającej go oczyma. Zarumieniona oparła dłoń na jego ramieniu.

— Możemy zaraz rano wyjechać... — wyszeptala tkliwie.

A jemu słodki dźwięk jej głosu przypomniał niewolę, w jaką się zaprzedał.

— Wszystko mi jedno! — burknął. — Możemy wcale nie jechać.

— Przecież sam pragnąłeś zobaczyć Paryż, Wiedeń... Cobyśmy zresztą w Pistulinie robili? Pustka, dom rudera... Ojciec z wiosną pałac wybuduje, wrócimy do gotowego.

Usłyszał to Mordalski, a że zwykł prawdę w oczy ludziom mówić, więc odezwał się do Sabiny:

— Niemądry to zwyczaj tych wyjazdów zagranicę po ślubie. Lepiej odrazu do gospodarki się zabrać.

— Kto może podróżować, po co ma sobie tej przyjemności odmawiać... — wyniośle odpowiedziała Sabina.

— Niech się szlacheckie korpusy przewietrzą — huknął dobrze już pijany Sadzikiewicz. — Sabcia zwyczajnie jak przy sklepie, nie potrafiłaby między państwem się obracać. Ta zagranica, panie kochający, tak ją wypoleruje, że korpus będzie wyglądał, jakby się na drzewie genealogicznym urodził.

— Ojcie! — zawołała z oburzeniem p. Pistulińska.

Ale zręczny Kuropatnicki, ratując sytuację,

przysunął się do niej z komplementem i zatarł przykre wrażenie.

— Kulę sobie do nóg przywiązałem...—pomyślał Seweryn, a w tem Mordalski krzyknął:

— Zdrowie państwa młodych!

Sewer na podziękowanie taki olbrzymi puhar wina wychylił, że zniknęła mu z pamięci i żona i świeża nawet twarzyczka Kazi Jaworzewskiej.

A serce młodej pani uderzało coraz żywiej, coraz goręcej. Czuła się dumną i szczęśliwą! Więc to jest mąż jej, ten piękny, smukły mężczyzna i oczywiście wszystkie kobiety jej zazdroszczą. Dotąd marzyła przedewszystkiem o tytule obywatelki i godności mężatki, a teraz wie tylko jedno, o jednym tylko myśli. Pragnie kochać i być kochaną; całować te rozmarzone oczy, te słodkie usta pod bujnem wąsem ukryte. Lecz oczy Seweryna odwracają się od niej, usta nie pragną pocałunku. Sabina chłód ten odczuwa i ogarnia ją względem męża nieśmiałość ogromna. Nie umie sobie wyobrazić, co ona pocnie, gdy już sama z Sewerem znajdzie się w wagonie; co ona mu powie, co on jej powie i czy zniknie ten przymus dziwny, który teraz jakby murem chińskim ich przegradza. Pochyliła głowę pod natłokiem myśli, nie zważając, ile zawistnych, ciekawych spojrzeń ją bada.

A tymczasem ranek się zbliżył szybko, pierwsze brzaski pogodnie wschodzącego słońca zróżowiły niebo, dzień wstawał jasny, przezroczystry i nim rozbawieni goście opamiętać się zdołali, strugi złotego

światła zgasiły niepewne, drżące blaski lamp i kin-kietów.

W pokoju matki Sabina przebierała się w kostyum podróży.

Ciemny kort w połączeniu z czarnym pluszem, mniej uwydatniał zwiędłą jej cerę; o wiele korzystniej wyglądała dzisiaj, aniżeli w białym stroju oblubienicy.

— Proszę pamiętać, żebyśmy w Pistulinie wszystko w porządku zastali — mówiła do matki. — A niech też ojciec nie skąpi przy budowie pałacu. Znam ja ten chwalebny zwyczaj robienia oszczędności.

Sadzikiewiczową uraził ton córki.

— Moja kochana — rzekła, — żeby nie ta oszczędność nasza, zabieganie, pewno nie jechalibyście te Paryże jakieś oglądać. Mój Boże, jakto ja serdelki bułką napychałam, aby tylko oszczędniej, a kieszki i kielbasy...

— Nie ciekawam!—przerwała wyniośle Sabina. —Niech też mama przez wzgląd na mego męża o kieszkach i serdelkach zapomni. Do sklepu przyjąć sklepową. Chyba rodziców stać na to.

— Ale moja kochana...

— Proszę oto!—dokończyła z taką miną, że Sadzikiewiczowa umilkła.

W godzinę potem do pocztowej karety wsiadała pompatycznie młoda pani Pistulińska.

Seweryn miał dziś twarz pogodniejszą i uśmiechną ustach. Sabina od matki chrzestnej otrzymała

gotówką 40,000 rubli. Sadzikiewicz najstarszemu korpusowi sumiennie odliczył 12,000 rubli, dodając zięciowi do ucha, że po śmierci rodziców drugą połowę otrzyma. Tymczasem będzie od niej płacił procent.

Gdy karetka ruszyła, zatarł ręce z radością.

— Uf! A to pańszczyzna, te pożegnania, uściśki, życzenia... To mieszczański zwyczaj i muszę się od tych ceremonii odzwyczać, Sabciu.

Nazwał ją po imieniu po raz pierwszy dopiero, więc spłonęła rumieńcem, który ją odmłodził i blask oczom dodał.

— Zrobię wszystko, co każesz... — wyszeptala.

Zapomniał na chwilę o Kazi i o tem, że się sprzedał. Czuł na piersiach grubo wypchany pugilares i ożywiała go myśl o tym świecie zabaw i rozkoszy, do którego dążył. Ujął rękę żony i pocałował.

Jej na drżące usta wybiegło pytanie pełne obaw i lkań tłumionych, lecz Seweryn zbył je żartem i śmiechem.

IX.

Pewnego wiosennego, ciepłego wieczora, Kazia z Krystyną do ogrodu wybiegły. Krysia była smutna, Kazia strwożona bładością jej i smutkiem.

— Radziłabym ci z Kozuchowiczem skończyć— mówiła, obejmując ramieniem przyjaciółkę.— Pewność choćby najgorsza, lepsza zawsze, niż oczekiwanie. Niech się oświadczy i już, albo tak, albo owak... Po co zwlekać.

Krystyna westchnęła.

— Tak ci się zdaje. Mamy oboje przecucie, że rodzice nie pozwolą. Kozuchowicz ani nazwiska pięknego nie ma, ani urzędu. Rzemieślnik uczciwy i pracowity, więcej nic. U nas to teraz nie popłaca, bo zamąż pójście Sabiny wszystkim w głowie przewróciło.

Błysk jakiś przemknął po twarzy Kazi.

— Prawda! — szepnęła smutno.

A Krystyna zaraz opowiadać zaczęła, jak Kosteck prawie wcale do szkoły nie chodzi, Jadwiga romanse czyta, leżąc na kanapie, rodzice rzadko do sklepu zajrzą. Strach co się dzieje, a wszystkiemu winien szwagierek, a teraz jeszcze i Sabina, chorująca na panią, aż się ludzie śmieją.

— Jedną przyczyną więcej, aby nie zwlekać— rezolutnie odezwała się Kazia.— Ona wam potem będzie przeszkadzać. Kiedyż wracają?

— Niedługo. Okropnie dużo pieniędzy wydali i chcą wrócić. Tylko że pałac jeszcze nieskończony. Ojciec im pisał, aby tymczasem w starym dworze zamieszkali. Kuropatnicki chce przyjechać z nimi, więc Sabina radaby go już w pałacu ugościć. Wstręt czują to tych gołych arystokratów.

— Kuropatnicki przyjeżdża w konkury do ciebie Kryśka! Nieprawdaż?

Mimo smutku wybuchnęły śmiechem.

— Dam ja mu konkury! — odgrażała się Krystyna. — Rodzice nie mają prawa unieszczęśliwiać dziecka dla jakichś wymysłów. Co mnie po nazwisku szlacheckiem i tytułach, kiedy mnie tylko ciche a pracowite życie ciągnie. Na damę się nie zdam.

Miała już łzy w oczach i w głosie.

Przypomniała sobie, jak to teraz rodzice Kożuchowicza traktują i zapłonęła oburzeniem.

— Biednaś ty! — szepnęła Kazia.

— Mój Boże! — rozżaliła się Krystyna — i czy ja chcę co złego uczynić? Jeno w tym razie jednym może ojciec zabronić dziecku. Ty mnie nie znasz, Kaziu! Taką już mam naturę, że jak widzę słuszność po mojej stronie, nie ustąpię.

— Cicho Kryśka! Przeciw woli rodziców nie można się buntować.

Na czole Krystyny zarysowała się głęboka zmarszczka. Podniosła hardo głowę.

— Nie kochając, zamaż nie pójdę; wstyd z tego potem i hańba. Często się to przecież w niedobrych związkach zdarza. Może to i grzech, lecz myślę niekiedy, że u nas nie wszystko jest tak, jakby być powinno.

— Cicho! — szepnęła z prośbą Kazia. — Lepiej myśli takie odpędzać.

Uścisnęła przyjaciółkę.

— Moja złota, nie zwlekaj, powiedz rodzicom choćby dziś jeszcze... Dobrze?

Zamyśliła się Krystyna. Powiedzieć? Ale co się z nią stanie, gdy stanowczo postawiła kwestya równie stanowczą a nieprzychylną wywoła odpowiedź? Co ona pocznie bez swego Stacha?

— Kiedy ty wyjeżdżasz do Warszawy, Kaziu? — spytała nagle.

— Za tydzień. Ogromnie się cieszę. U nas w sklepie coraz gorzej idzie. Ojciec się gryzie, mama także... Mam nadzieję, że się to odmieni, gdy się wyuczę buchalteryi i z handlem obeznam.

— Oczywiście.

Krystyna ważyła coś w myśli, coś, od czego smutna jej twarz poweselała.

Po chwili odezwała się:

— Jeśli mi Stacha odbiorą, wiem, co uczynię. Pojadę z tobą. Może i dla mnie w Warszawie praca się znajdzie. Tubym nie wytrzymała.

Kazia w dłonie klasnęła.

— Śliczna myśl! Ach, Krysiu, jakżem rada! Przy zajęciu, oddaleniu łatwiej zapomnisz. Ja też sobie tak myślę: lepiej stokroć samotną pozostać i pracować, niżeli wyjść zamaż bez przekonania. Mnie bardzo żal Sabiny. Nie posiada ani miłości męża, ani —

Zawahala się.

— Ani szacunku! — dokończyła Krysia. — Nie zamieniałabym się na jej Pistulin i spokrewnionego z hrabiami męża.

Zamilkły obie.

Gdy w godzinę potem Krystyna do stołowego pokoju weszła, blada była i dreszcz nią wstrząsał. Ostre spojrzenie matki przeszło ją zaraz na wstępie, uderzyła chmurna twarz ojca.

Trafiła na awanturę. Kostek o północy do domu wrócił i bez złotego zegarka. Zerwała się tedy nad głową winowajcy burza, aczkolwiek on pociski jej chłodno przyjmował.

— Wielka rzecz, zegarek!... — mówił niedbale kręcąc w rękach dewizkę! — Ojcu się zdaje, że występki popełnił. Chciałbym porachować, ile zegarków szwagierki mój między ludzi puścił, a ojciec mu jednak z rozkoszą Sabinę oddał.

Sadzikiewicz od odpowiedzi uwolnił hałas w sieni.

— Co tam, pali się? Czy co u kaduka — spytał wchodzącej dziewczyny.

— Szynek ośm skradli — odparła obojętnie.

— Ośm szynek? Niechże was piorun siarczysty ogarnie niegodziwcy, darmozjady, panie kochający! — krzyknął Sadzikiewicz. — Żeby tak krwawicę moją marnować. Dam ja wam! — I z temi słowy wyleciał za drzwi.

Sadzikiewiczowa ruszyła się ku drzwiom.

— Niegodziwe ludzie dopiero! — mruzczała, ścisnąc pięści. — Skórę z takich łotrów drzeć.

— To nie pierwszy raz w sklepie brak towaru — odezwała się, po jej wyjściu Krystyna. —

Sklepowa jest leniwa i ślamazarna. Nawet reszty kupującym wydać nie potrafi.

— Ty zawsze widzisz więcej, niż jest... — zauważyla p. Jadwiga.

— A ty nie widzisz prócz swoich romansidel, które jeno w głowie zamęt czynią... — rzekła surowo Krystyna i zwróciła się do brata.

— Ej, Kostek! — wyrzekła łagodnie — coż tam znów nabroił? Gdyby się inspektor dowiedział, żeś w knajpie gdzieś nocował...

— Już wie! Dziś mnie z budy wyleli. Takim rad! Nie mów jeszcze starym; już i tak o zegarek miałem awanturę.

Popatrzyła na niego z boleścią.

— Ładnie się kierujesz. I cóż teraz będzie? Doprawdy, tak mi jest, jakby mi kto nóż w serce wpakował. Ty nie o przyszłości nie myślisz. Nie pojmuję, jak —

— Jak można kochać się w takim Kozuchowiczu na przykład — zadrwił Kostek, lecz wnet usta sobie zatulił, bo oto Sadzikiewiczowie oboje wchodząc, wyrazy ostatnie posłyszeli.

— Kto się kocha w Kozuchowiczu? Gdzie? Co? Jak?

Krzyczał Sadzikiewicz, krzyczała Sadzikiewiczowa.

Jadwiga uśmiechała się chytrze.

— Może to i lepiej! — pomyślała Krystyna i do ojca podeszła.

— Czy tobie romanse chodzą po głowie? — spy-

tał groźnie. — Jużem nieraz uważał, że po kątach z Koźuchowiczem szepczecie, panie kochający!

Krystyna pochyliła się ku ręce ojca.

— Chciałam właśnie prosić ojca o dobre dla p. Koźuchowicza słówko — rzekła odważnie. — Kochamy się oddawna, i postanowiłam sobie, że za innego nie pójdę.

Sadzikiewicz osłupiał.

— Co, co takiego? — Oszalał korpus jeden z drugim.

Sadzikiewiczowa przyskoczyła do córki.

— Żmijo! — krzyknęła. — A pytałaś się o pozwolenie rodziców?

— Dziś właśnie miałam to uczynić — odezwała się cicho Krystyna i przyklękała u kolan ojca.

— Popisała się niuńka! — syknęła Jadwiga. — Ucieszą się Pistulińscy.

— P. Koźuchowicz w tych dniach się oświadczy, — zaczęła drżącym głosem Krystyna. — Ślubowaliśmy sobie...

— Milcz! Ani słowa więcej! — wrzasnął Sadzikiewicz.

— A to ci się pięknie za pobłażanie i pieszczoty odwdzięczyła — zadzwiała Sadzikiewiczowa. — Krysia pierwsze oczko, Krysia faworytka! A ja ci radzę, niech się ten Koźuchowicz w domu naszym nie pokazuje. Ja za siebie nie odpowiadam. Stolarczuk, szubrawiec!

Krystyna podniosła się z kolan. Ogień palił jej się w oczach, płonęły policzki.

— Niech mama tak nie mówi — wyrzekła z mocą. — Czy ja nie słyszałam, jak ojciec Koźuchowicza Sabinie zachwalał? Dopiero teraz Koźuchowicz zły, od kiedy goły arystokrata do mieszczańskiej rodziny wszedł.

Krzywdą wyrządzona ukochanemu tak ją zabolala, iż bojaźń w obec niej zamilkła.

W Sadzikiewiczzu krew zakipiała.

— Precz mi z oczu! — wołał, trzęsąc Krystyną i popychając ją ku drzwiom. — Ja ci pokażę Koźuchowicza:

— Zgubione dziecko, shańbione! — jęczała Sadzikiewiczowa. — Bez wiedzy rodziców, bez pozwoleństwa romanse prowadzi. Wstyd dla rodziny, zgryzota, hańba!

— Hańba! — powtórzyła osłupiała dziewczyna. — Jaka hańba?

Zasłoniła twarz w poczuciu bezmiernego bólu.

Rodzicom postawa jej, ów gest odruchowy rąk wydały się przyznaniem do winy. Sadzikiewicz, że to zawsze do Kryski słabość miał, mrugnął ku żonie, a po chwili rzekł:

— Kto się grzechów swoich wstydzi i za grzechy żałuje, temu się połowę winy odpuszcza. Przepraszam rodziców, a z tamtym korpusem ja się, panie kochający, załatwię.

— Powiedz mu odrazu, że za wysokie progi na jego nogi — wtrąciła Sadzikiewiczowa. — Powiedz, że twój zięć Pistuliński wcale sobie nie życzy koligacji

z nim prowadzić. Co rzemieślnik, to rzemieślnik! Jaka to śmiałość dopiero. Mówiłam, że szubrawiec!

Krystyna odjęła ręce od twarzy. Dziwnie ból ją zmienił. Zdawałoby się, że lat jej przybyło. Patrzyła prosto w oczy matce chłodna, spokojna.

Po chwili rzekła:

— Niech mama nie wymyśla na Kozuchowicza, bo to się na nic nie przyda. Spotwarzonego z meej przyczyny więcej jeszcze kochać będę. Mama mnie ciężko dotknęła i nie wiem, czyli kiedy w życiu słowa mamine zapomnę. I to jeszcze rodzicom powiem, że jeśli nie Kozuchowicz, nikt inny mężem moim nie będzie.

— Wypędzę! — wrzasnął Sadzikiewicz.

— To już wola ojca! Świat szeroki, ręce zdrowe do pracy mając, dam sobie jakoś radę.

Pochyliła się do ręki ojca.

— Niech się rodzice na mnie nie gniewają — wyrzekła, hamując drżenie głosu. — We wszystkim posłuszna będę, ale Kozuchowicza nie odstąpię.

Ogarnęło ją wielkie wzruszenie, bo przecie pierwszy raz przeciw woli rodziców występowała, a lękając się nowego wybuchu, wyszła z pokoju

Sadzikiewicz spojrzał na żonę.

— A to, panie kochający, korpus wziął na kiel — odezwał się zmieszany. — Ale dziewczyna charakterna, co? zdrowo gada.

— Krnąbrna, niegodziwa! — zawołała Sadzikiewiczowa. — Dałby jej inny ojciec!

— Mówiłaś zawsze, abym się do córek nie wtrą-

cał—chytrze zauważył, a potem długo jeszcze radzili oboje, jakby Krystynie miłość dla Kozuchowicza wyperswadować.

X.

W tydzień potem wczesnym rankiem przed sklep Jaworzewskich zajechała bryczka w dobrze wypasione mierzynki zaprzężona.

Na koźle, siedział sam właściciel zaprzęgu, Ówierkowski, który miał Kazię do stacyi kolei odwieźć. Jaworzewski od sklepu odjechać nie mógł, Jaworzewska znowu od dzieci i gospodarstwa; Mordalski Ówierkowskiego naraił, że to człowiek był i stateczny i uczciwy nad miarę.

W mieszkaniu Jaworzewskich zamęt i krętania. Wszyscy się śpieszą, wszyscy razem mówią.

Kazia już ubrana pije herbatę, lecz wzrok jej pełen obaw i smutku spoczywa na przyjaciółce.

— Moja mamó kochana—odzywa się z prośbą—niech też mama o Krysi pamięta. Okropnie się o nią boję

Tak się cieszyłam, że razem pojedziemy...

— Otóż to! — mruknął Jaworzewski.

— We dwie byłoby raźniej i bezpieczniej...—
dokończył ciszej.

Wyjazd Kazi nurtował go i obawą przejmował.
Krysia u okna załkała cicho.

— Już teraz nie wiem, co ja z sobą pocznę—la-
mentowała. Ojciec krzyczy, matka patrzeć na mnie
nie może, Jadwiga na każdym kroku dokucza. Ka-
zia odjedzie, to nawet wypłakać się przed kim nie
będzie.

— Czy myślisz, że się rodzice nie dadzą ubla-
gać?—spytała stając przed nią Kazia.

— To jest doprawdy niesprawiedliwość ogro-
mna! Pomijam już, że Kozuchowicza na zięcia nie
chcą; trudno! Ale żeby nie pozwolić ci do Warsza-
wy jechać i czegokolwiek się nauczyć, coby ukoilo tę-
sknotę i złagodziło rozpacz, to już nie rozumiem. Cóż
ty tu wysiedzisz? Tylko się rozżalać będziesz
i wspomnieniami karmić. Dla ciebie teraz jeno twar-
da, obowiązkowa praca byłaby lekarstwem.

Popłakały się obie. Wtem Ówierkowski do okna
zastukał.

— Spóźnimy się na pociąg, panienko! — przy-
pomniał. Czasby w drogę... Więc zaczęto się że-
gnać.

Chłopcy wyskoczyli z łóżek, wieszając się u szyi
Kazi ze łzami w zaspanych oczach; Jaworzewska sze-
ptała cicho „Pod Twoją Obronę,“ Jaworzewski hała-
sował, gderał, aby rozrzewnienie ukryć.

— A nie zapomnij wziąć numeru od dorożkarza,

żeby cię gdzie na przedpiekle jakie nie zawiózł—mó-
wił do Kazi.

— Niechże tatuś będzie spokojny!

Kazia włożyła płaszczyk, granatowy słomkowy
kapelusz, rzuciła zażawione spojrzenie na wizerunek
Matki Boskiej, wiszący nad jej łóżkiem, pogładziła
bujne czupryny tulących się do niej chłopców i panu-
jąc mężnie nad bólem, który jej serce ścisnął, pochy-
liła się w objęcia rodziców.

— Pamiętaj, pisuj często...—rozplakana wołała
za nią Krysia.

— Niech Cię Bóg prowadzi!

— W Imię Ojca i Syna...

¶ Kazia siedziała już na bryczce. Ówierkowski
stał jednak, bo zawsze się jeszcze coś do powiedzenia
znalazło.

Z pod granatowego kapelusza wychylała się po-
bladła twarz dziewczęcia i szafirowe oczy lśniące łza-
mi, którym spłynąć nie pozwalała.

¶ Chwila jeszcze... Ówierkowski lejce ujął, usado-
wił się na koźle, cmoknął na konie, bryczka zaturko-
tała po nierównym bruku skacząc i skręciła w ulicę
ku rogatce.

U Sadzikiewiczów otwierano sklep właśnie i je-
dnocześnie nad sklepem otworzyło się okno.

Czerwona, świecąca twarz Sadzikiewiczowej
wyjrzała na ulicę. Postrzegła niknącą w oddali
bryczkę i stojącą przed domem gromadkę z zapłaka-
ną Kryska na czele.

— Kryska! Śniadanie do sklepu!—zawołała zi-

rytowanym głosem. Gdzie się tam tak rano waleś-
szasz? Romanse jakieś! Waryatka!

Krystyna z głową spuszczoną powlokła się do sklepu. Matka od owej sceny o Kozuchowicza doku-
czała jej najwięcej.

XI.

Sewerynowstwo Pistulińscy zapowiedzieli przy-
jazd swój dwudziestego października.

Wiadomość ta wywołała popłoch niemal w ro-
dzinie Sadzikiewiczów.

Należało godnie przyjąć powracających z Pary-
ża nowożeńców.

— Trzebąby coś na powitanie Pistulińskich urzą-
dzić — proponował Kostek, po wyrzuceniu z gimna-
zyum zajmujący się niby gospodarstwem w Pistuli-
nie. W Rakowie bramy tryumfalne zrobili i wieś
cała wyległa z chlebem i solą na powitanie dziedzica
i dziedziczki. To ładnie wygląda i po pańsku!

Sadzikiewicz zamyślił się głęboko.

— No, ale uważasz, panie kochający, ja się na
takich figlach nie znam.

— A od czegoż ja jestem?—uśmiechnął się chy-

trze chłopak. Niech ojciec wyasygnuje odpowiednią
sumkę, a ja takie *fest* przyjęcie urządzę, że Bąki zgłu-
pieją, a okolica cała będzie zazdrościć

— Ba! tyś majster do takich rzeczy. Dobry
pomysł. Pistulińska panie kochający kontenta bę-
dzie, chociaż to korpus wymagający. Ileż by to kosz-
towało, Kostek?

— Hm! Muzykę trzeba sprowadzić, lampy, fa-
jerwerki... 400, 400 rubli, licząc z poczęstunkiem dla
chłopów.

— Oszalałeś?

— Uchowaj, Boże! A cóż ojciec myśli? Z ni-
czego to tylko P. Bóg potrafił świat stworzyć.

Stary jednak targował się do upadłego, ale mło-
dy się uparł i postawił na swoim. 300 rubli z żela-
znej kasy Sadzikiewicza przewędrowały do jego pu-
gilaresu.

W ciągu kilku dni następnych Bąki huczały, jak
prawdziwe bąki. Dziwić się temu nie należy; Sadzi-
kiewicz do huczku tego dopomagał dzielnie.

— Mój zięć, hrabia Piasta Pistuliński, przy-
jeżdża z panią Pistulińską z Paryża—opowiadał każ-
demu. W Pistulinie chłopci będą solą witali dziedzica,
bo korpus, panie kochający, nie byle kto... Ognie
bengalskie będą, rakiety, bramy tryumfalne... Albo
to nas nie stać na uczczenie takiego herbownego
zięcia...

A nałaziwszy się po mieście, wracał potem do
domu, zatruwając otaczającym każdą w dniu chwilę.

Krysia chodziła z zapuchniętymi od płaczu oczy-

ma. Sabina pisała, że Kuropatnicki wciąż o Krystynie myśli i prawdopodobnie przyjedzie z nimi do Bąków.

Krysia z zaciśniętymi wargami słuchać musiała ciąglych o Kozuchowiczu docinków.

„Szubrawiec, rzemieślnik, złodziej polujący na posażne panuy“ i t. p.

Już go nie broniła nawet, bo to wywoływało jeszcze większą burzę. Ale się truła i mizerniała. Z Kozuchowiczem widywali się tylko w kościele i oczami wypowiadali sobie ból i tęsknotę.

W sobotę, w dzień przyjazdu Pistulińskich matka kazała jej włożyć nową popielatą suknię z aksamitem i koronkami oszyty kołnierz.

Kostek, słyszając to, podbiegł do Krysi, kłaniając się nisko, rzekł:

— Czołem przed jaśnie wielmożną panią Kuropatnicką! Popielata suknia z kołnierzem to dobry pomysł. Złapie się nieborak ani chybi.

Krystyna z roziskrzonym wzrokiem pokazała mu figę.

— Tyle sobie z twoich Kuropatnickich robię— rzekła śmiało i z pokoju uciekła.

— Będzie matka miała z nią kłopot— odezwał się Kostek. Ona się łatwo nagiąć nie da.

A że Kryskę kochał więcej, niż starsze siostry, więc dodał poufnie:

— Matka nie umie z nią postępować. Niech matka nie zapomina, że ona 20 lat skończyła i niedługo bez rodziców pozwolenia może się obejść.

Sadzikiewiczowa poczerwieniła.

— Obejdzie się? A zobaczymy! Ja ją nauczę, ja jej pokażę! Ja, matka! Ojciec jest safandula, ale ja tu przecie coś znaczę.

Wieczorem przyjechali Pistulińscy. Gdy karetta pocztowa zatrzymała się przed domem Sadzikiewiczów, wnet jakby z pod ziemi cała gromada gapiów wyrosła. Połechtalo to przyjemnie dumę Sadzikiewiczów.

Pani Pistulińska z arystokratycznym chłodem powitała rodzinę.

— Zanocujecie u nas, odpoczniecie, a jutro, panie kochający, odwieziemy was do Pistulina—odezwał Sadzikiewicz, gdy już powitania minęły.

Seweryn dość opryskliwie zaprotestował.

— Najlepiej się w domu odpoczywa i dla tego dziś jeszcze pojedziemy.

Sabina przytuliła się do męża.

— Pojedziemy zaraz, Sewerku! I jabym pragnęła jak najrychlej być w domu.

— Odsunął ją lekko.

— Unikaj parafiańszczyzny, moja kochana!— odezwał się sucho.

Sabina, chcąc ukryć pomieszenie zwróciła się do ojca.

— Niech ojciec sobie wyobrazi, że wszędzie zagranicą figurowaliśmy jako hrabiowie— opowiadała. *Monsieur le comte de Pistula Pistuliński* ledwo się gdzie pokaże, już wszyscy koło niego na łapkach służą, kłaniają się nisko.

— Cóż to nadzwyczajnego? Byle głupstwo opowiadasz — mruknął zdruzony Pistuliński.

— Owszem, owszem! — zaprzeczył żywo Sadzikiewicz, którego duma rozpieiała.

— Myśmy przecie w Paryżu nie byli, to radzi słuchamy. Ale też za tę grzeczność dużo sobie pewno korpusy płacić każą, co?

— Pękło parę tysięcy... — niedbale rzucił Seweryn.

— Oby tylko parę! — westchnęła Sabina, bo skąpstwo zwyciężyło na chwilę wyegzaltowaną czułość dla małżonka. Sewer, prawdziwie, jak wielki pan, nie umie się targować.

Sadzikiewiczowa skrzywiła się i, znacząco patrząc na męża, rzekła:

— To źle! Pieniądz lekko pójdzie, gdy go się nie umie szanować.

Na co Sewer odparł niegrzecznie:

— Jużem za stary, bym moralów słuchał.

— Ale bo też mama wtrąca się niepotrzebnie — zawołała Sabina przerażona zmarszczką na czole męża. Cośmy wydali, to wydali; nikomu rachunku zdawać nie potrzebujemy.

— To się rozumie! — łagodził Sadzikiewicz, lecz jednocześnie pomyślał: Okrutnie ten pan zięć hardy.

Potem mówiono o Kuropatnickim.

— Miał przyjechać razem z nami — opowiadała Sabina, patrząc figlarnie na Krysię.

— Ale w Radziszkach u hrabiego Rudzkiego ogromne polowanie wypadło i musiał tam pojechać.

Seweryn, spostrzegłszy rumieńce i zmieszanie na twarzy Krystyny, fałszywie je sobie wytłómaczył.

— Kuropatnicki będzie tu za parę tygodni — odezwał się. Chce blisko Pistulina dzierzawę wziąć. Ho, ho! jaką ten człowiek fortunę miał...

— No i co? Puścił? — spytał z trwogą Sadzikiewicz.

Sewer się pomiarkował.

— Co miał puścić! Jak się trafi nieurodzaj, klęska jaka, to i gospodarstwo chociażby najlepiej prowadzone nie wytrzyma. Ojciec myśli, że to tak, jak w handlu...

— Dyonizy ma zamiar o Kryskę konkurować — wtrąciła Sabina.

— O, o, o! Co znowu! Po starszeństwie, panie kochający, korpusy niech idą... — drożąc się niby, odparł Sadzikiewicz.

Jadwiga przygryzła wargi.

— Mnie się wcale nie śpieszy — rzekła z dąsem. I takbym za Kuropatnickiego nie poszła...

Sadzikiewiczowi przypomniał się Kostek, który od rana już w Pistulinie siedział, urządzając powitalne przyjęcie.

Projekt zięcia wyruszenia dziś jeszcze do Pistulina psuł program zabawy.

— Dałem 300 rs. Kostkowi, aby wam takie przyjęcie urządził, jakie niedawno było w Rakowie — odezwał się z pychą.

— Jutro rano miałem pchnąć posłańca z uwia-

domieniem, o której godzinie przybędziecie. Fajerwerki i ognie jakies Kostek posprowadzał...

— Dziękuję ojcu! To ślicznie! Jaki to szyk!

Seweryn słuchał obojętnie. Nauczył się już tej miny wielkopańskiej, znudzonej.

— Ciekawym, jak on to tam urządził... — rzekł, zapalając cygaro.—Ale wypada nam zostać do jutra...

Zasiedli do kolacyi. Podano kielbasę z szarym sosem, szczupaka w galarecie, bitki wieprzowe z makaronem i soczystą szynkę.

Sewer zjadał z apetytem; Sabina odsuwała półmiski z niechęcią.

— Już też mama mogła coś delikatniejszego wymyśleć—rzekła. Wieprzowina przypomina mi to, o czem bym rada zapomnieć!

Krysia podała jej konfitury i ciastka.

— Korpus delikatny jest, wiadomo!—rzekł Sazdikiewicz, dumny z córki i zięcia. Ale moja żona, panie kochający, z każdym dniem skąpsza ..

— Sabcia ten przymiot po mamie odziedziczyła—ozwała się milcząca dotąd Jadwiga. Pan szwagier powinien być kontent; będzie oszczędzała i za siebie i za niego.

Zła była, bo spodziewała się ładnego z zagranicy gościńca, tymczasem otrzymała skromną broszkę z perłowej masy i parę rękawiczek.

— No i co tu słyszeć w Bąkach?—pytał Seweryn, popijając piwo. Mordalski córkę wydał? Fiszszel zawsze Jaworzewskiemu buty szyje, co? Mądra bestya! Ależ i ten Jaworzewski niedołęga!

Naumyślnie skierował tak rozmowę, by się coś o Kazi dowiedzieć. Jadwiga myśl jego odgadła i rada, że mu sprawi przykrość, rzekła:

— Piękna panna Kazimiera już w Warszawie. Nie udało się w Bąkach złapać męża, pojechała szukać gdzieindziej.

Seweryn z pod przymkniętych powiek rzucił jej wymowne spojrzenie. Zirytowany wstał pierwszy od stołu i ziewnął szeroko.

Sabina patrzyła w niego, jak w obraz,

— Może się położysz i odpocznesz? — spytała. A może chcesz cygaro?

— Chcę, żebyś mnie nie nudziła — mruknął, podrażniony wspomnieniem Kazi, znudzony rodziną, z którą żyć się bliżej, wydawało mu się niepodobieństwem.

— Pójdę wino u Fiszla zamówić—zwrócił się do żony. A tobie radzę, połoź się i wyśpij. Wyglądasz, jak z krzyża zdjęta.

Wyszedł. Uśmiechała mu się myśl kilkugodzinnej swobody.

U Fiszla w pokoiku za sklepem spotkał przy butelce węgryzna paru ze wsi sąsiadów, sędziego i reagenta. Dalejże go oni witać i do kompanii zapraszać.

Pani Chaja Fiszlowa, jak purpurowa róża, z brylantami w czarnych źrenicach, drżącemi rękoma napępniała ulubionemu gościowi lampeczkę.

Sewerynowi uśmiechnęła się dawna, swobodna przeszłość.

— Bodajto nasze kawalerskie czasy! — szepnął

do ucha pięknej żydówce i westchnął, przyczem ona tak mu z głębi piersi zawtórowała, że aż kolce złote perłami sadzone zadźwięczały metalicznie u jej uszu, a sznury koralu zakolysały się na białem łonie.

Młoda pani Pistulińska pokazała już elśnionej rodzinie rozmaite cacka paryskie, strojne okrywki i kapelusze, po raz dziesiąty opowiedziała o honorach, jakie w hotelach zagranicznych odbierali, a Seweryna jak nie było, tak nie było.

Znużona podróżą radaby jak najprędzej położyć się, czeka jednak powrotu małżonka z utęsknieniem, zaglądając do zwierciadła.

Błękitny fularowy szlafroczek i maleńki czepek koronkowy nadają jej pozór młodej mężatki, lecz zwiędła cera występuje jeszcze widoczniej przy jasnej, delikatnej barwie sukni.

— Gdzie on jest, co robi?—myśli zaniepokojona i czuje się niezmiernie uszczęśliwiona, gdy rodzice i siostry zostawiają ją samą.

Nie potrzebuje się krępować i z westchnieniem ulgi rzuca się na sofę, zakrywając twarz rękami.

Sewer, Sewer i tylko Sewer! On wypełnia wszystkie jej myśli! Uwielbia go! Zawiedłą, anemiczną kobietę pociąga bujna, zdrowa młodość Seweryna, olśniewa stanowisko, jakie jej nadał w świecie, i godność małżonki.

W miłości tej było iednakże coś chorobliwego, jak chorobliwą była atmosfera, w której się ona rozwijała.

Życie, jakie w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy

pełziła, barwne, upajające rozkoszą, gorączkowało wyobraźnię, podniecało nerwy, przeciążało umysł i ciało wrażeniami. Paryż, Wiedeń, Włochy.. Każda z tych miejscowości udzielała jej coś z siebie, co wnikało w jej duchową istotę, przeobrażało ją... Namiętna chęć dorównania damom eleganckiego świata odebrała jej naturalną prostotę; głos, ruchy, słowa—wszystko raziło przesadą, pozą. Sewerynowi była tak obojętna, że równie dobrze mogła upleść z tyłu głowy warkocz, jak Chinka, utatuować twarz, lub przy nosie złote obręcze zawiesić.

W pierwszych tygodniach po ślubie szalał, myśląc o Kazi, o szczęściu, jakie mógł być pozyskać. Potem wpadł w wir nowego życia czerpiąc rozrzuconą dłoń z napelnionego przez teścia pugilaresu i do Bąków przywiózł teraz twarz mizerną, humor kwaśny i niechęć wzrastającą do żony. Czuł pęta, a pęt nie znosił.

Sabina instynktem kochającej kobiety odgadywała prawdę; postanowiła jednak bądź co bądź, zdobyć sobie miłość męża. W domu rodziców nawykła do panowania, teraz pierwsza usuwała się w cień, z oczu męża chwytając niewymówione jeszcze życzenia, szczęśliwa, gdy z własnego popędu raczył przemówić do niej, lub ofiarował pieśczętę.

Leżąc samotnie w dawnym panińskim swoim pokoju, który dla państwa młodych przygotowano, przetrawiała całą gorycz swego położenia. Udawała zadowolonej i szczęśliwej wobec rodziny nużyło ją niesłuchanie.

Sadzikiewiczowie tymczasem w sypialni swojej zabierali się do snu.

Sadzikiewicz nałożył fajkę i pykał zwolna przyglądając się żonie, z dziwną starannością oglądającej czepek nocny.

Widocznie było, że radziby coś powiedzieć, lecz żadne pierwszem być nie chce.

— No i co, Brygisiu? — spytał wreszcie Sadzikiewicz. Przyjechali.

— Przyjechali! — Odparła nachmurzona!

— A no i jakże?

— Cóż? Państwo! Sabina, jak prawdziwa pani, wygląda.

Mówiąc to, wsadziła czepek na głowę i przytłoczyła go rękami z niebywałą zaciekłością.

— Ale Pistulińska wypiękniała, co? I rezon taki, panie kochający, ma...

— Za wielki! — mruknęła Sadzikiewiczowa.

Czepek siedział już teraz na czubku głowy, lecz szarpnięta z gniewem tasiemka tkwiła w zaciśniętych palcach Sadzikiewiczowej.

— Porachujno, ile ten zagraniczny obrok, na którym się wypasła, kosztował — dodała, kładąc się do łóżka. Sabina i mężowi widać na wszystko pozwala i wydatków nie rachuje. Przy takim gospodarstwie mogą niedługo z torbami pójść.

— Nie gniewaj się, kochasiu, aleś niepotrzebnie z moralami do zięcia wyjechała, — odezwał się na to Sadzikiewicz. Co się ty na tem znasz. Inaczej wy-

daje taki Mordalski, albo Kozuchowicz, a takie korpusy herbowne także inaczej.

— No no, żebyś się tylko zapóźno nie obejrzał, mądralski! — z gniewem odparła, nasuwając koldrę na uszy. Państwo swoją drogą, a oszczędność i uszanowanie dla rodziców swoją Sabina nikomu z nas do słowa przyjść nie pozwala.

Sadzikiewicz zamyślony fajkę na bok odstawił.

— Są dzieci, jest zmartwienie, niema dzieci, też jest zmartwienie — zakonkludował wreszcie. Ostatnią jednak myślą jego przed zaśnięciem była rozkosz tryumfu nad Bąkowianami i zadowolona pycha.

Krysia tej nocy wcale spać nie mogła. Przyjazd Kuropatnickiego napelniał ją trwogą.

Seweryn powrócił dopiero nad ranem. Węgrzyn i namiętne spojrzenia Fiszlowej ukołysały go do snu.

XII.

Upłynęło kilka tygodni. Pistulińscy zagospodarowali się już u siebie.

Po zapłaceniu Towarzystwa i innych długów, Pistulin znalazł się w pozycji wcale przyzwoitej.

Przyjęto rządcę. Człek był sprytny i wglę-

dnie ucziwy, ale do gospodarowania w wielkim stylu przyzwyczajony.

Pistulin wydał mu się rudera, którą z gruntu przerabiać potrzeba.

— W Opaliskach wybudowałem stajnie, jakich na całą okolicę nie znajdzie—opowiadał. W Zalesinie podniosłem tak kulturę, żeśmy pszenicę i buraki na wystawę rolniczą posyłali. W Marynowce zaprowadziłem rybolóstwo, wydrenowałem łąki... Niechno pan dziedzic wyasygnuje parę tysięcy na postawienie obory; a trzeba i o owczarni pomyśleć. Co to za gospodarstwo bez owiec..

— Wolałbym wieprze kupić—ozwał się obecny rozmowie Śadzikiwicz. Wieprze zawsze dobrze płacą. Pamiętaj, Sabciu, ilem ja to rocznie wykupił zawsze tych kwiczących korpusów?

Rządca stłumił uśmiech, Seweryn przygryzł wąsa, twarz Sabiny rumieńcem się oblała.

— To tylko nieporządek z tego i odór nieprzyjemny...—rzekła, a potem na osobności uczyniła ojcu uwagę, że ich wieprzami skompromitował.

Pistuliński, gdy mu rządca erudycją swą na każdym kroku imponował, od rządów usuwał się z wolna, rad, że będzie miał głowę spokojną. Rządca tedy przerabiał, budował, kupował, dziedzic pieniądze dawał prawie bez rachunku, bo Seweryn rachować nie lubił.

— Skorom się sprzedał, to niech przynajmniej wiem, za co... — powtarzał sobie i z lekkim sumie-

niem wyjeżdżał w sąsiedztwo, polował, i bywało, że tydzień lub dwa spędzał niekiedy po za domem.

— Mógłby też Sewer i o mnie pamiętać—myślała Sabina z goryczą. — Nie po to przecie zamąż poszłam i tyle pieniędzy w Pistulin wpakowałam, bym teraz siedziała w domu, jak pustelnica.

I przyrzekała sobie, skoro tylko Sewer przyjedzie, powie mu o tem; lecz gdy powrócił, była tak stęskniona i uszczęśliwiona, że zamiast czynić mu wymówki, patrzyła w niego rozkochanemi oczyma, zapominając o sobie.

A miała też ona i innych przykrości niemało. Na gospodarstwie się nie znała, rozkazywać nie potrafiła. Możeby i potrafiła zresztą, ale się lękała. Przeszłość zbyt jeszcze była świeża i bądź za blisko od Pistulina leżały. Każda dziewczka z czeladniej wiedziała, że rodzice dziedziczki sklep mają w Bąkach. Ba! Co gorzej jeszcze, plątek słoniny, czy kółko kielbasy, kupowano tam nieraz, zważone ręką samej Śadzikiwiczowej.

Obniżało to ogromnie stanowisko pani dziedziczki.

— Niech pani dziedziczka wybaczy — odpowiadała zwykle rezolutna gospodyni, sprowadzona na miejsce Magdzińskiej z gubernialnego miasta, gdy Pistulińska z czemkolwiek się odezwała.—To trzeba inaczej zrobić. Ja mam różną kompetencję w gospodarstwie i nauczna jestem po wielkich domach.

Wzmianka o „wielkich domach“ zjednywała jej głos stanowczy w każdej kwestyi. Ale Pistulińskiej

już to kością w gardle stało. Ona czuła, wiedziała, że ją służba pozornie tylko słucha i szanuje, a w gruncie rzeczy śmieją się z niej i szydzą. Nie było na to rady. Za nic nie zwierzyłyby się mężowi, a on jeden tylko mógł samowolę ukrócić.

Pewnej niedzieli przyjechała z Jadwigą Sadzikiewiczowa.

Sewer przyjechał do Warszawy, Sabina czuła się trochę niezdrową i z większą niż kiedykolwiek serdecznością powitała matkę i siostrę.

Gawędziły dość długo, gdy Sadzikiewiczowa zauważyła, że Sabina pobladła i zmieniła się na twarzy.

Z domyślnym uśmiechem pocałowała córkę, a do Jadwigi rzekła:

— Bacz, by Sabcia nie zemdląła. Ja pójdę po wino.

Jadwiga opowiadać zaczęła siostrze o nieszczęśliwej skłonności Krystyny i o tem, jak rodzice źle są dla niej usposobieni.

— Kryśka się odgraża, że z domu ucieknie. Namówiły się podobno z Kazią Jaworzewską, że Kryśka za nią do Warszawy pojedzie i tam fachu jakiego się nauczy—mówiła. Jadwiga rada, że złość i gorycz przeciw ładniejszej i młodszej siostrze wyłać może.

Sabina załamała ręce.

— Do Warszawy? Oszalała! Coby ona w Warszawie robiła!

Chce się szewctwa uczyć...

— Boże święty i może sklep z trzewikami w Bąkach założyć?—wybuchnęła Sabina.

— Tegoby tylko trzeba było. Coby Sewer powiedział. Taka kompromitacya, taki wstyd!

— Wszystkiemu Jaworzewscy winni. Przewracają dziewczynie w głowie, urządzają podobno u siebie schadzki z Koźuchowiczem. Ale wiesz co? Sewer u nich wszystko teraz kupuje. Słyszałam, że jadąc do Warszawy, wstępował z zapytaniem, czy listu do Kazi nie dadzą.

— Co? Jadwisiu, czy to prawda?

Sabina pobladła i trzęsła się, jak w febrze.

— Zkąd wiesz o tem? Mów, bój się Boga!

Jadwiga spojrzała na siostrę i zlekła się.

— Tak słyszałam. Ale czegoś ty się tak przestraszyła? Cóż wielkiego! Tylko ci powiem, że niepotrzebnie Sewer tak często do Warszawy lata.

— Interesy ma rozmaite...—wykrztusiła Sabina.

— Jakież? Okłamuje cię i basta! Okropnie jesteś cierpliwa! Innaby z pięściami do męża skakała, gdyby ją tak marynował w domu...

Na to weszła Sadzikiewiczowa. Wypieki miała na policzkach z oburzenia.

— W grób byś się położyła moja kochana, gdybyś wiedziała, co się tam dzieje... —mówiła, wskazując ręką na oficynę, gdzie mieściły się kuchnie i spiżarnie.

— Cóż takiego? —blademi usty spytała Sabina.

— Wyobraź sobie — zaczęła, z trudnością dech łapiąc Sadzikiewiczowa — wchodzę do pokoju gospo-

dyni po klucze i zastają przy stole pisarzową, ekonomową, a ta lafirynda twoja pokojówka, wystrojona, jak lala, mizdrzy się do jakichś smyków, których tam siedzi kilku. Ale to jeszcze nic... Na stole wszystkie gatunki konfitur, bakalie, likiery i ciasta. I cała ta czereda napycha sobie twoją krzywdą żołądki. Struchlałam! Powiadam ci, ledwom trupem nie padła. A ta bezczelna Piórkowska w nos mi się śmiała! To świństwo — mówię jej — to oszukaństwo, a ona wzięła się pod boki i powiada: „Pani myślała, że ja gości suchym chlebem przyjmę?!“... Sodomą Gomora, jak męża kocham! Z torbami pójdziecie i Pistulin zjedzą takie nizezemne sługi.

Sabina uczuła się nad wyraz znękaną.

— Trzeba będzie oddalić Piórkowską — ozwała się zmęczonym głosem. — To za wielka pani dla nas i słowa powiedzieć sobie nie pozwoli.

— I Julię trzeba oddalić i tego próżniaka pisarza—zawołała Sádzikiewiczowa. — Że to twój mąż nieponiów takich, heretyków trzyma. Safandula jest i kwita!

— Niechże też matka Sewera do tego nie miesza — obraziła się Sabina. — On nie winien. Służba wie, zkąd pochodzę, a oni takich, jak my, za nic mają. Ten sklep i ta przeszłość nasza to mi życie zatrują. Służba Sewera słucha, ale na mnie patrzy, jak na przybłądę. Matka myśli, że to tylko ze służbą tak? Dobrze mi ta stara arystokratka w Horyciskach przycięła...

Rozplakała się.

— Cóż wielkiego, że się kto handlem majątku dorabia—niepewnym głosem ozwała się Sádzikiewiczowa.—Czy w ten sposób pracować, czy w inny...

— E! co się tam matka zna tem... A ja widzę, że to Seweryna gryzie. Najlepiej byłoby sklep sprzedać i wyprowadzić się choćby i do Warszawy...

Sádzikiewiczowa osłupiała.

— Sabciu, bój się Boga, tożbyśmy grosz zjedli, a potem co? Jadwiga i Kryska jeszcze niewydane, Kostek tyle kosztuje...

Tu Jadwiga wybuchnęła ze skargą.

— Już dziesięć razy mogłam wyjść zamaż—narzekała.—Ale cóż. Na sadło to się złapie tylko taki Sewer, którego żydzi ze wszystkich stron szarpali i miał wóz i przewóz...

— Co tam opowiadasz!—oburzyła się Sabina.— Z hrabianką mógł się ożenić i bogatą.

Ale Jadwiga w skrytości serca siostrze stanowiąc i ładnego męża zazdroszcząc, rzekła zajadliwie:

— Chyba nie powiesz, że się z miłości z tobą ożenił. Bez ciebie nie mógł przecie posagu wziąć...

Sabinę przyprawiło to wszystko o migrenę.

Po wyjeździe matki i Jadwigi, zamknęła się w swoim pokoju, rzewnie płacząc. Więc on jej nie kocha, i wszyscy wiedzą, że ożenił się dla pieniędzy. Prawda! Przypomina sobie, jak ucieka zawsze od pocałunku jej ust, a gdy się garnie w jego objęcia, odsuwa się niechętnie, lub żartem zbywa.

Ją pożerała zazdrość i ból i gniew, ale umiała panować nad sobą. Wrodzoną szorstkość charakte-

ru pokrywała słodyczą, przycichło w niej nawet skąpstwo, i chociaż widziała, że Sewer wydaje bez rachunku, nie odezwała się nigdy z napominaniem. I wzamian za to, co jej Sewer daje? Lekceważenie, obojętność... I teraz jeszcze ta podróż do Warszawy, aby zobaczyć Kazię... Bo pocóż pojechał? Nie jest tak naiwna, aby wierzyła w jakieś interesy...

W rozgorączkowanej wyobraźni zaczęły powstawać mary jedne od drugich straszniejsze. Czuła, że bez Sewera, bez jego miłości, obejść się nie potrafi i ogarnęła ją rozpacz. Co począc, by tę miłość zdobyć?

Ranek zastał ją siedzącą z zaczerwienionymi od płaczu i bezsenności oczyma.

Spojrzała w okno. Pogoda była śliczna. W jaskrawych promieniach słońca, kąpała się wspaniała brama wjazdowa i budynki o dachach z czerwonej blachy z wieżyczkami i galerijkami. Służba uwijała się pomiędzy pałacem a kuchnią, wszędzie znać było dostatek i szyk pański. Ubogi Pistulin przeistoczył się w piękną rezydentkę i Sabina wodząc teraz okiem wokół, mimowolnie pomyślała, że to jej przecie Sewer zawdzięcza wszystko. Jej posag uratował go od ruiny, od nędzy i upokorzeń. Ona dała mu spokój, powierzyła mienie swoje z ufnością.

I nagle obudziły się zgłuszone dotąd woły: chciwość, złość, zazdrość — i walczyć poczęły o lepsze z zawziętością, jaka ją nagle przeciw mężowi oparowała.

Ona nie chce traktowana być, jak niewolnica, upokarzana, nie chce wobec gości i służby zajmować

podrzednego stanowiska, skoro do niej należy i ten pałac i ta służba i Pistulin cały.

Sewer ją zaniedbuje, jeździ, bawi się, pieniądze wydaje... Jej pieniądze!

Zerwała się z krzesła w namiętrem uniesieniu.

— Dość tego! — krzyknęła. — Ja mu to zapłacę. Sewer jest zły, niegodziwy, podły!

Ale teraz co chwila przypominać mu będę, że gdyby nie ja, byłby żebrakiem, że tu wszystko moje, moje, moje! — powtarzała, tupiąc nogami, rwąc koronki szlafroka.

Dusił ją gniew, krew gorącą falą napłynęła do głowy. Oddychała z trudnością, otworzyła okno i wychyliwszy się, wchłaniała w siebie surowy chłód poranku.

Wtem pod oknem coś zaszeleściło.

Oparty o drzewo stał chłop o zdrowej jasnej twarzy, promiennej radością i uśmiechniętej.

Widziała go, jak przed chwilą gracował aleje ogrodu, ale wpatrzony teraz w puciołowatą buzię malca, wyciągającego ku niemu ręce z objęć matczynych, zapomniał o robocie.

Kobieta oddała mu dziecko i wyjęła z kobiałki dzbanek gorącego żuru i chleba czarnego skibkę.

Lecz on zamiast do dzbanka, wyciągnął ku niej rękę, objął w pól i do świeżych jej ust przycisnął wargi.

Sabina przymknęła oczy.

Burza targająca jej nerwami uciszała się zwolna. Już nie zlorzeczyła Sewerowi.

Za jeden taki uścisk, jakim wieśniak żonę swoją obdarzył, poświęciłaby z chęcią cały swój majątek i wszelkie pretensje do świata.

XIII.

Czas biegł, jak na skrzydłach.

W Bąkach przybyło kilkanaście nowych kamienic; niemiec jakiś założył fabrykę guzików; sprowadził się piekarz z Warszawy; naprawiono szosę, która do gubernialnego miasta wiodła i ktoś rzucił podobno projekt, aby te wydzielone Bąki linią kolei żelaznej ze światem ucywilizowanym połączyć.

Mówiono także o wielkim młynie parowym, który miał podnieść i ożywić skromne i ciche dotąd Bąki.

— Słuchajno, Adamie — rzekł dnia pewnego Mordalski, przyszedłszy na poobiednią kawę do Sadzikiewiczów — możebyśmy panie dobrodzieju do spółki z Gadzińskim do tego młyna się wzięli. Jak ty myślisz, he? Dobry interes i czysty interes; Gadziński to solidna firma. A taki młyn ma przyszłość przed sobą, nieprawdaż?

Sadzikiewicz zrazu się ożywił.

— Ma przyszłość, ma! — powtarzał. — Grubo mo-

żna zarobić i, panie kochający, moglibyśmy tego... do spółki... Ale to korpus kosztowny jest... o!...

— Chyba ci kapitału nie brakuje — zauważył Mordalski.

— No nie, to się wie, panie kochający, ale nie wiem, coby na to Pistulińscy powiedzieli.

— Seweryn nie pozwoli — stanowczo zapewniła p. Jadwiga.

— Sabcia, chciałam powiedzieć, Pistulińska, ciągle wymawia, że sklep dotąd trzymamy — odezwała się Sadzikiewiczowa.

Mordalski głową pokręcił.

— Toście się państwo w kuratele dostali, jak widzę... — uśmiechnął się z ironią i już o młyn nie zaczął.

Mówiono potem o Krysi.

Mordalski chwalił niezmiernie Kozuchowicza, co wywołało ogólny niesmak.

— Tu mi włosy wyrosną — zarzekł się Sadzikiewicz, dłoń pokazując — nim ja Krysi za tego chłystka wyjść pozwolę.

Mordalski zerwał się z krzesła rozgniewany.

— Wstydzilibyś się, Adamie! — rzekł. — Kto pracuje uczciwie, na miano chłystka nie zasługuje. Ale tu widzę, pycha ze szczętem się rozpanoszyła. No, no! Patrzmy końca.

Pożegnał się zimno i wyszedł.

— Brutal, mieszcuch! — rzuciła za nim Jadwiga, a Sadzikiewicz, podniósłszy się na piętach, dodał:

— Za piwowara córkę wydał... Phi!...

W dwa tygodnie potem Kostek ubrany, jak lalka z żurnalu wycięta, wszedł do pokoju ojca.

— No, a co tam? — spytał stary, przyglądając się synowi z upodobaniem — Gdzieżeś się tak wystroił? Korpus, panie kochający, jakby na odpust się tego... a to dzień powszedni, sobota.

— Szewcy tylko ubierają się w święta... — odparł, wydymając wargę synalek.

— Widzisz go! Cha, cha! arystokracik! Jak to się prędko, panie kochający, wypolerował — śmiał się dobrodusznie Sadzikiewicz.

Konstanty skrzywił się.

— Mam do ojca interes...

— Do mnie? Chyba do mojej kieszeni...

— Przypuśćmy! Niech więc ojciec porzuci żarty i słucha.

Krysia, która właśnie pokój ojca porządkowała, szepnęła bratu:

— Grzecznie do ojca mówisz.

Kostek wzruszył ramionami z takim lekceważeniem, że dziewczyna rumieńcem się oblała.

— Jadę do Michniewa — rzekł do ojca. — Proszony jestem na imieniny. Pistulińska pisała, abym z nią jechał.

— Taaak? A, to panie kochający, honor. Da-libóg honor! Dziedzice! Michniew ma obszaru ośmnaście włók, jak mówił Dyrdyński. I jakżeś ty się tam wkręcił.

— Kto się wkręcał? Ojciec się też wyraża...

— Kostek! — upomniała cicho Krystyna, ale Kostek nie zważał.

Oddawna już przywykł traktować ojca po koleżeńsku.

— Cóż się obrażasz? — Przecie nic złego nie powiedziałem. Kontent jestem, że, panie kochający, z arystokratami trzymasz — mówił, łagodząc, Sadzikiewicz. — Kiedyż jedziesz?

— Za godzinę. Niechno ojciec kasę otworzy, bo goły przecie nie pojedę.

— Dałem ci wczoraj 25 rubli...

— A to dużo! Że się też ojciec nie wstydzi przypominać. Ojciec wie chyba, że mam wydatki... Ze względu na Pistulińskich nie mogę żyć z hołotą i jak szewc się ubierać!

— To się wie! A ileż ci, panie kochający, potrzeba? He?

— Musi ojciec dać setkę od wypadku. Czy to wiadomo, co się może zdarzyć? Z pustą kieszenią nie pojedę.

— Kostek, czyś ty zwaryował?

— To chyba ojciec chce, żebym od Pistulińskiego pożyczyl. Albo od żyda. Dadzą, dadzą żydkowie, niech się ojciec nie boi. Sadzikiewicz to solidna firma.

— No, no! Od żydów zdaleka. To, panie kochający, korpusy niebezpieczne. Słuchajno Kostek, dam ci 25 rubli, jak wczoraj. Nie będziesz miał więcej, to ci wystarczy, a będziesz miał, to wydasz.

— Nie pojedę.

— A to siedź w domu — rozgniewał się stary. —

Żeby też, panie kochający, tyle pieniędzy wyrzucać. Cóż ty sobie myślisz, kpie jeden!

— Ojcie, niech się ojciec nie zapomina. Co biorę, to moje. Wolno mi.

— A jak to swoje puścisz, to co? Kto ci da? No kto? Gadaj! Widzisz go, jaki mądry! Obliczy-
leś, ileś dotąd wydał, co?

Wyjął z pugilaesu banknot dwudziestopięciorublowy i rzucił na stół, mówiąc:

— Nie dam więcej!

Kostek spokorniał. Odsunawszy banknot, zapalił papierosa, przejrzał się w zwierciadło i zadowolony z siebie rzucił się na sofę.

Sadzikiewiczowa powtarzała zwykle, gdy starsze córki nie słyszały, że Kostuś okradł siostry z urody. I prawda. Chłopiec był ładny, jak dziewczyna; do Krystyny jak dwie krople wody podobny. Ozy czarne, błyszczące śmiały się weselem, złota czupryna w gęstych kędziarach spadała na czoło białe, szerokie, nos był kształtny i puszysty pod nim wąsik.

Kostek znał swoją wartość fizyczną i cenił się bardzo.

— W Michniewie jest panna na wydaniu — odezwał się po chwili. — Młodziutka o trzy lata młodsza odemnie. Widziałem ją w kościele. Powiadam ojcu, tak oczkowała na mnie, ażem się mieszał. Jak ojciec myśli: ile Michniew wart? Panna jedynaczka.

Sadzikiewicz aż przysiadł ze wzruszenia.

— O, o! co ci po głowie chodzi. Arystokracya! U nikogo tu w mieście nie bywają. I oczkowała na

ciebie, powiadasz? Oczkowała? A to korpus, panie kochający, ma gust. No i co? co?

Kilka misternych kólek dymu błękitnym obłokiem zasłoniło filuterną twarz chłopaka.

— Moznaby konkurować...— wycodził po chwili. — Pistulińska nawet coś wspominała...

— Tak że mi gadaj. Wczesnego ożenienia jeszcze nikt nie żałował. Ja sam, panie kochający, ożeniłem się w 20 roku, a spytaj się matki panie tego... czy nie byłem mężem, jak się patrzy.

Kostek śmiechem wybuchnął.

— Cóż się śmiejesz? We wszystkim pan Bóg błogosławił. I w majątku i panie kochający, korpusy deliktusy jeden za drugim tego... Nigdy nie żałował.

Wyprostował się z dumą.

— A widzi ojciec. Jabym też rad wcześniej się ożenić. Gdyby starzy odrazu Michniewa nie dali, tylko gotówkę, to mi ojciec folwark jaki kupi. Prawda?

— Masz rację! A to smyk, panie kochający, mądrała.

Stary ucieszony siadł na sofie obok Kostka i dalejże snuć plany.

Krystyna z ciężkiem westchnieniem opuściła pokój.

Konstantego z rodzeństwa kochała najwięcej i drżała z trwogi o jego przyszłość. Wydalony z gimnazjum próżnował i dbał tylko o powierzchowność swoją, ubierał się modnie i kosztownie, a że zręcznie potrafił chorować na pana, więc olśnieni rodzice na wszystko mu pozwalali.

Jadwiga potakiwała, Sabina uśmiechała się, jedna Krysią tylko wzdychała i uciekała do Jaworzewskich, by się Kazi z troską swoją zwierzyć.

XIV.

Pół roku upłynęło, odkąd po powrocie z Warszawy Kazia objęła zarząd nad sklepem.

Poczawszy od skromnego, ale gustownego szyl-du, wszystko się tam zmieniło.

Mając na uwadze blizkie, niebezpieczne sąsiedztwo Fiszla, urządziła mu konkurencyę w towarze, którego on nie posiadał i posiadać nie mógł, bo ani smacznych półgęsków, ani marynat i konserw niktby u żyda nie szukał.

Jaworzewska, oddawszy sklep Kazi, zajęła się ogrodem.

Najpiękniejsze truskawki, sałata, pomidory u niej zjawiały się najrychlej, a dobrze płacone rozchodzily się potem po mieście. Dwa razy tygodniowo piekła smaczne, tanie jajeczniki, chleb razowy, w karnawale pączki i faworki.

Kto więc przyszedł po chleb czy pomidory, ten już gdzieindziej po kawę lub cukier nie poszedł.

— Nie powinienes pan pozwalać córce męczyć się w sklepie. Szkoda ładnych rączek do takiej grubej roboty.

— Od dzieciństwa do pracy nawykły—odezwwała się Kazia i wyszła.

Ale od dnia tego Pistuliński coraz częściej zjawiał się w sklepie.

Było się zawsze o co zamówić, bo dwór Pistuliński dużo potrzebował.

Kazi sprawiało to przykrość ogromną; bywało tak, że w sklepie prócz niej, nie było nikogo, więc Pistuliński wpijał w nią bezkarnie płomienne spojrzenia, a nie'iedy i słówko jakieś szepnął, które rumieńcem niechęci i oburzenia oblewało twarz dziewczyny.

Pewnego razu spytała go wręcz:

— Czy pani Pistulińska wie, że pan u nas teraz towary bierze?

Seweryn zmieszal się, ale wnet ze zwykłą lekomyślnością odparł:

— Co jej do tego, proszę pani. Biorę tam, gdzie mi się podoba.

— Lepiej powiedzieć—rzekła stanowczo.—Żona pańska nie lubi mnie oddawna; pewna jestem, iż wolałaby gorszy nawet towar brać, niżeli u nas. Jeśli pan chce uwolnić mnie od przykrości, niech pan zakupy czyni gdzieindziej.

Sewer mileżał.

Coż, że Kazia ma słuszność. Sabina istotnie nie wiedziała dotąd o niczem, lecz niech się tylko z Jadwigą zobaczą... Ale zaraz sobie pomyślał, że Sabina nie ma prawa rozkazywać mu, i że on nie po-

zwolili by sobie czynić uwag. Cóż wtem złego zresztą, że Kazię niekiedy zobaczy. Taka jest dla niego odpychająca, zimna, i on też zanadto ją szanuje, by chciał bałamucić. Czy może jednak wyrzec się jej widoku i co jej to przeszkadza, że na nią czasem popatrzy?

Ogarnął go gniew przeciw Kazi.

— Przypuszczałem, proszę pani, że do sklepu wolno każdemu wejść—odezwał się szorstko.—Biorę przecież towar, który chyba nie od parady w sklepie leży. Tylko pani okropnie mnie nie lubi, prawda? A ja pani powiem, że pani źle robi. Pani ma nade mną taki wpływ... Sabina powinna być pani wdzięczna, bo ja teraz lepszy jestem, niżeli dawniej.

— Pan mi przykrość sprawia ogromną — zawołała rozgniewana Kazia. — Po co to mówić rzeczy, które ubliżają nam obojgu. Wpływ nad panem może mieć tylko żona; pan to chyba sam pojmuje.

Odwrociła się od niego, zarumieniona, z oczyma błyszczącemi. Seweryn musiał użyć wielkiej nad sobą siły, by nie porwać jej w ramiona wbrew wszelkim rozumowaniom.

Odporność jej, roznamiętniała go, a że nie zwykł kłaść hamulca swoim namiętnościom, więc bardzo łatwo mógł się zagalopować i uczynić coś takiego, coby go na zawsze rozłączyło z Kazią.

— Niech mi pani da rączkę do pocałowania i pójde precz, skoro pani patrzeć na mnie nie chce—odezwał się po chwili.

— Zgadzam się z tem wszystkiem co pani mówi, ale to rzecz rozsądku, z którym serce wiecznie

się klóci. Towary zacznę znowu brać u Fiszla, aby się pani nie naprzykrzać, gdybym atoli zajrzał tu kiedy...

— Nie, nie!—wybuchnęła Kazia. Proszę pana jak o łaskę, niech pan sklep nasz omija. Mówiła mi Krysia, że p. Jadwiga już coś przebąkuje...

— Krysia jest plotkarka, a Jadwiga głupia sroka, która pani wdzięków i młodości zazdrości—odparł. Tymczasem niech będzie, jak pani chce... Ot, co to sobie kule do nogi przywiązać! Dobrze mi tak.

Porwał kapelusz i wyciągnął do Kazi rękę.

— Żegnam panią! Pójde do Fiszla. Tam się przynajmniej upić można i zapomnieć.

Kazia ze smutkiem popatrzyła za nim. I on i Sabina wydali jej się godnymi litości.

XV.

Sabina dzień zapowiedziany na zabawę w Michowie powitała z radością, lecz i z trwogą zarazem.

Nie mogąc zmrużyć oka przez noc całą, pobiegła wstawszy do zwierciadła, aby się przekonać, czy nie ma powiek zaczerwienionych i obrzękłych.

Poczem wypila dwie łyżki bromu na uspokojenie rozigranych nerwów i zadzwoniła na pokojówkę.

— Niech Klara zobaczy, czy pan już wstał— poleciła służącej. I niechaj do mnie ogrodnik przyjdzie...

A gdy pokojówka wybiegła, Sabina narzuciła różowy batystowy szlafroczek i twarz obsypała pudrem.

— Boże! Boże! Jak ja też, wyglądać będę...— szeptała, wciąż jedną pochłonięta myślą. Już sobie wyobrażam, jak te wszystkie damy patrzeć na mnie będą. Ach, jakże ja ich nienawidzę!

Po raz dziesiąty obejrzała suknię z rezedowego atlasu, przybraną białym dżetem i istotnie bardzo piękną, wachlarz z piór białych i rękawiczki.

— Wiem, że gorzej od innych się nie ubiorę, że przecie są jeszcze brzydsze kobiety ode mnie i że Sewer nie będzie potrzebował wstydzić się za mnie, a mimo to, zawczasu już czuję smak gorzkich pigulek, jakie przy okazji tej połknąć będę musiała.

— Pan pije śniadanie z panem Konstantym—raportowała Klara z niezwykłym ożywieniem wpadłszy do pokoju.

Drzwiami stuknęła mocno i Sabina przestraszyła się.

— Cóż tak hałasujesz?— spytała, odwacając się od gotowalni

Dziewczyzna miała purpurowe policzki i ogień w oczach.

— Ale bo...— jękała. Śpieszyłam się...

Brała w rękę rozmaite przedmioty i kładła je,

sama nie wiedząc co robi, uciekając z oczami przed wzrokiem pani.

— Czy wołałaś ogrodnika?

Nowa fala krwi oblała policzki Klary.

— Zapomniałam, proszę pani dziedziczki, ale zaraz pobiegnę...

Sabina po jej wyjściu przycisnęła obie ręce do czoła.

— Jak ci mężczyźni sami siebie nie szanują— szepnęła.— Trzeba mi chyba stare baby wyszukiwać; przynajmniej tego ciągłego wstydu i trucia się oszczędzę sobie.

Poprawiła włosy, przejrzała się w zwierciadło i poszła na śniadanie.

W stołowym pokoju zastała kręcącą się koło pańów Klarę, która na widok pani zmieszala się i uciekła.

Sabina udala, że nie dostrzegła jej obecności. Uścisnęła ręką mężowi i bratu, poczem, przysuwając sobie maszynkę z kawą, spytała:

— O której pojedziemy, Sewerku?

Sewer niedbale nogi wyciągnął.

— O ho! już ją pali. Powiadam ci, Kostek, mało dwadzieścia razy wczoraj mi się o to pytała.

— Raz jeden tylko! — spokojnie odparła Sabina, Gdybyś mi był odpowiedział, nie powtarzałabym pytania.

— Dobrze, dobrze! Ot przypilnuj lepiej gospodyni, bo szynka źle uwędzona. Ślicznie gospodarstwo prowadzisz.

Nie odpowiedziała. Znała zwyczaj Sewera przy-
czepiania się do byle drobnostki.

— Nie wierz mężowi, Sabciu, — odezwał się
Konstanty. Szynka wyborna.

Uśmiechnęła się do niego przez łyzy. Wpraw-
dzie powinna była przywyknąć do tego, że Sewer
zawsze coś do nagany znalazł; ale bolało ją, gdy miało
to miejsce przy kimś z rodziny lub przy służbie,
na co Sewer nie zważał.

— Sabciu, zaczął po chwili—radzę ci, zawiąż
sobie oczy, gdy do Michniewa przyjedziemy.

— Czemuż to?—spytała ze zdumieniem.

— Bo tam ładne panny będę, a ty na ładne nie
lubisz patrzeć, prawda?

Piękna panna Helena będzie. Wiesz, ta z Ko-
złowa.

— Gdyby była taka piękna dla wszystkich, jak
dla ciebie, toby już ją kto wziął, odcięła się Sabina.

— Dalibóg, prawda! — potwierdził Kostek śmiejąc
się. To już panienska leciwa.

— W przyszłym tygodniu będzie w Kozłowie
ogromne polowanie—rzekł Sewer, nalewając wiśni-
ku. Panna Helena jak nowoczesna Dyana na łowy
się wybiera.

— Pojedziesz? — spytała Sabina z nagłym ru-
mieńcem.

— Oczywiście. Panny mi obiecały pas do flinty
wyszyć.

— Masz ich chyba podostatkiem.

— Ale nie panięskimi rączkami haftowane—

roześmiał się Seweryn i drugi kieliszek wiśniaku wy-
chylił.

— Co mi to za panny, które żonatym mężczy-
znom pasy wyszywają — wymówiła z trudnością, bo
opanowała ją zazdrość i gniew. Chyba to nie wy-
pada.

— Albo ty wiesz co wypada, albo nie wypada—
odciął gburowato. W sklepie form cię towarzyskich
nie uczyli.

Kostek, widząc, że się na sprzeczkę zanosi, zrej-
terował

— Pójdę do stajni konie obejrzeć — rzekł, wy-
chodząc.

Sabina odsunęła filiżankę.

Popatrzyła na męża.

Miała już słowa gorzkiej wymówki na ustach,
ale ich nie wymówiła.

Sewer siedział przed nią taki piękny, taki ko-
chany.

Ogarnęło ją wzruszenie.

Z jakąż rozkoszą całowałaaby jego usta, utuliła
głowę na jego piersi.

— Sewer, szepnęła — ty pewno wciąż żałujesz,
żeś się ożenił ze mną... Prawda?

Roześmiał się.

— Rozvodu nam nie dadzą, choćbym i żałował—
odparł niedbale. Ale widzę, że ci się na sentymenta
zebrało, więc uciekam.

Usunął krzesło z hałasem i wychodząc, rzucił
jej ode drzwi:

— Bądź gotowa na piątą. Do Michniewa dya-

belne piaski, powlecjemy się wolno, trzeba wcześniej wyjechać. Tylko nie miej takiej rozmazanej miny, Sabciu, bo wcale nie pojedę.

Już i tak, dalibóg, ryzyko robię, biorąc cię. Zebranie będzie liczne... Pamiętaj, że się wszyscy na ciebie, jako na panią Pistulińską, gapić będą. Nie zróbże mi wstydu.

— Wolałabym nie jechać... szepnęła, bo mimo ogromnej chęci znalezienia się nareszcie w sferze Sewera, ogarniała ją trwoga.

Już o nikogo niedbała, ale on, Sewer, jeśli będzie niezadowolony...

Z westchnieniem poszła się ubierać.

Czuła się tak rozdrażniona, że gotowa była co chwila wybuchnąć płaczem.

— Idź precz!—zawołała z gniewem, gdy Klara przyszła jej pomóc przy ubieraniu.

I zamiast fryzury misternie skomplikowanej, rozdzieliła włosy nad czołem, lekko tylko skarbowane, i kilka pukli umieściła na środku głowy.

W ciemnych włosach ładnie odbijał perłami wysadzany grzebień, i gdy ubrana już przejrzała się w zwierciadło, szczerem zadowoleniem twarz jej się rozpromieniła.

— Kociu, mój Kociu — pytała przywoławszy Konstantego—powiedz mi szczerze, jak ja też wyglądam? Suknia—zdaje mi się—dobrze leży. Co?

Kostek obejrzał siostrę uważnie.

— Wyglądasz, jak prawdziwa dama!—zawyrokował. Bez pochlebstwa, *parole d'honneur!* Sewer powinien być zadowolony. A jaka suknia gustowna

i piękna! No rad, jestem niezmiernie; wcale gorzej od innych wyglądać nie będziesz.

Była tak uszczęśliwiona, że nie namyślając się nawet, ofiarowała bratu pierścionek z brylancikami.

— Czy też Sewer zauważy, że dobrze mi w tej sukni — myślała i serce biło jej tak gwałtownie, iż okazała się znowu potrzeba użycia bromu.

Szaro już było na świecie, gdy zajechano przed okazały dwór w Michniewie.

Zjazd był liczny; bryczki i karety zajeżdżały jedno po drugim, tłum gości snuł się w salonach, oświetlonych już rześściami.

— Ale to bał widać całą gębą—odezwał się Konstanty i musnął węża.

— Sewer, mój Sewer—szepnęła Sabina—tylko odemnie nie odchodź, błagam cię! Tyle osób... Nie znam nikogo...

Głos jej drżał, i krew biła do głowy.

Sewer się śmiał i zbywał ją żartami.

Weszli do salonu.

— A! kochanego Sewerka, witam, witam!—wołał stojący u drzwi gospodarz.

Pistulińskiego znał od dziecka i bardzo go lubił.

Uściśnęli się.

— Żona moja, szwagier!—rekomendował Seweryn, zarumienionych, ogłuszonych nieledwie: Sabinę i Kostka.

Michniewski ostygł nagle.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekł, chłodną dłoń podając obojgu.

Pani Michniewska, kobieta wielkiej niegdyś urody i wielkich do świata pretensyj, postrzegłszy Sabinę, nałożyła szybko binokle.

— Patrzcie, patrzcie, mówiła do sąsiadek, to ten nieszczęśliwy Sewerek i ta, ta Sadzikiewiczówna... Musiałam ją zaprosić ze względu na niego... Przebaczciel!

I ze znaczącym skrzywieniem ust, co niby uśmiech naśladować miało, witała Pistulińską.

Przy świetle sztucznem, w toalecie gustownej i umiejętnie dobranej, Sabina wyglądała wcale ładnie.

Ładniej, niżeli większa część zebranych w salonie kobiet.

Lecz nikt tego nie widział, a raczej widzieć nie chciał.

Brzydotę, ubiór niestosowny byłyby jej snadniej przebaczyły lornetujące ją panie, ale właśnie, że nie jej zarzucić nie mogły, zakipsiały gniewem i niechęcią.

Gdy Sabina usiadła między niemi, wnet rozpoczęły pomiędzy sobą gawędę tej treści, aby Sabina słowa dorzucić nie mogła.

Siedziała więc biedaczka, jak na mękach i milczała.

Widziała wybiegające ku niej spojrzenia ostre, kolące, widziała pół-uśmiechy, odgadywała cicho, z chichotem szeptane, słówka.

Rozpoczęto tańce.

Młoda, wiotka, jak trzcina, blondynka usiadła przy Sabinie.

— Pani nie tańczy?—pytała, aby coś powiedzieć, bo całą jej uwagę pochłonięła walcząca prześlizgnie para.

— Ach, jak ten Pistuliński tańczy! — rzekła, wskazując go Sabinie. Ale przyznać trzeba, że i Helena walcuje, jak baletnica. Jak mamę kocham, prawda! Pani była na „Fauście“ w Warszawie? Sto razy-bym poszła dla samego walca. Brawo brawo! — zawołała, klaszcząc w dłonie, gdy Seweryn z panną Heleną przemknęli obok.

Sabina pobladła.

Sniada brunetka w czerwonej krepowej sukni z jaskółkami aksamitnymi na ramionach, dziwnie miękko pochyliła się w objęcia Sewera i paliła go za-rem dużych, czarnych źrenic.

Tańczyli istotnie prześlizgnie i tworzyli razem tak piękną parę, że inni tancerze usunęli się i z zachwytem, poczęli w dłonie klaskać.

— Kocham się w Pistulińskim! — zawołała znowu gadatliwa blondynka.

— Cacy chłopczyk! Cóż, kiedy z felerem — dodała żałośnie.

— Z felerem? — powtórzyła zdumiona Pistulińska.—Z jakim felerem?

Ożenił się! — szepnęła tamta z komiczną rozpaczą. Czy to żona nie feler? Brrr! Jeszcze jaki.

Roztrzepana dziewczyna po raz pierwszy widziała Sabinę i ani przypuściła, że błada, smutna kobieta jest żoną wesołego, ładnego Sewera.

— Pani zna p. Helenę? To była pierwsza miłość Pistulińskiego. Tylko że długi na Kozłowie

ciążą, i ona z całą swoją miłością nie byłaby uratowała Pistulina. P. Seweryn ożenił się podobno z jakąś, z jakąś... Sadzikiewiczówną — wykszusiła, dławiąc się śmiechem, a chwilę potem w objęciach roztańczonego Sewera fruwała po salonie.

Sabiny nikt dotąd do tańca nie zaprosił.

W pewnych kwestiach mężowie chętnie solidaryzują się ze swymi żonami.

Chociaż ten i ów szeptał, że Pistulińska jest przystojna i figurę ma ładną, ale wobec żony żadenby tego powtórzyć nie chciał i każdy ją ignorował.

Patrząc na tańczących, Sabina coraz większy żal uczuwała do męża.

Niechby choć spojrzął, gdzie ona jest, co robi, a skoro nikt jej do tańca nie prosi, to on, jako mąż, powinien.

A ta bezwstydną panną Heleną! Zjada go oczkami, narzuca mu się, zalotnica, kokietka!

Sabina zapomniała o przestrożach Krystyny.

Ból, zazdrość szarpały jej sercem i myślała już tylko o tem, by uciec stąd, uciec co rychlej, oderwać Sewera od tych ludzi tak jej obcych, tak nienawistnych.

O północy dano hasło do wieczerzy.

Panowie z galanterią podawali ręce damom i sunęli parami do sali, zastawionej z takim przepychem, jak gdyby na hypotece Michniewa nie ciążyły długie, nieledwie już wartości jego przewyższające.

— Panie Maliszewski, bądź pan tak uprzejmy — mówiła zafrasowana niby p. Michniewska — i podaj

— Obowiązkiem moim jest pamiętać o panu, jako przygodnym towarzysz — rzekła. — Niechże pan pozwoli.

Poprowadziła go w przeciwny kąt salonu, gdzie mieścił się bufet.

Wzrok Sabiny pogonił za nimi.

Nie czuła już żalu do tych obcych, którzy jej dokuczali, ale Sewer, Sewer jej mąż!

Mgła przysłoniła jej oczy.

Ach, gdyby się ta męczarnia skończyła nareszcie, gdyby zrzucić mogła i piękną suknię i kwiaty i klejnoty, wcisnąć się w najciemniejszy kącik i... kać, płakać, póki ten ból ostry, piekący, w łzach się nie roztopi.

— Jesteś bardzo blada, Sabino — szepnął jej Konstanty. Wypij kieliszek wina...

Potrząsnęła głową.

Od stolika, przy którym siedział Sewer, dochodziły głośno wybuchy śmiechu panny Heleny i polyskiwały w świetle żyraudola białe pulchne jej ramiona.

Ponsowa suknia pięknej panny mieniła się w oczach Sabiny krwawą jakąś barwą, aksamitne jaskółki zdawały się fruwać w powietrzu.

Nerwy jej były tak podniecone, że gdy biesiadnicy ruszyli wreszcie od stołu, Sabina drżała całym ciałem i z ledwością na nogach utrzymać się mogła.

— Cóż ty za komedye wyprawiasz? — szepnął jej na uboczu Sewer.

— Wyglądasz, jak desperatka. Ładnieś się zaprezentowała.

Nakładał z pośpiechem rękawiczki, bo odzywały się już dźwięki mazura, do którego p. Helenę zaprosił.

W Sabinie krew zakipiła.

Terazby już zapanować nad sobą nie potrafiła.

Jadę do domu zaraz, natychmiast—odezwała się, gryząc koronkową chusteczkę.— Dość tej męki!

— Ty, jak chcesz! Możesz zostać, bo któżby bawił tę bezwstydną pannicę. Żaden uczciwy mężczyzna nie pokusił się o to.

— Sabino! — syknął przez zęby. — Nie drażnij mnie, bo wywołasz skandal. Ty wiesz, że ja nad sobą panować nie potrafię.

— Więc pożegnam cię! Konstanty odwiezie maie do domu, a ty się baw, baw za pieniądze żony, którą poniewierasz.

Gniew ją uniósł, zapomniała, gdzie jest, że ludzie posłyszeć mogą, nie czuła, że Sewer w żelaznym uścisku gruchocze jej palce.

— Mazur!—rozległo się po sali.

— Wszystkie pary!

— Zabieram pani męża! — zawołała, nadbiegając, p. Helena.

— Widzę to! — z naciskiem odparła Sabina i, skinąwszy na Konstantego, wymknęła się z salonu.

Wsiadali już do karety, gdy najniespodziewaniej zjawił się Sewer.

Twarz miał czerwoną, spotniała, palto narzuco-

ne na ramiona, a ranek był chłodny i mgła wilgotna unosiła się w powietrzu.

— Jazda—krzyknął na woźnicę i siadłszy przy Sabinie zatrzasnął drzwiczki z takim impetem, że aż szyba brzękła.

— Okryj się... — szepnęła błagalnie. — Zaziębisz się!

W jednej chwili wszystko mu wybaczyła.

W odpowiedzi zrzucił palto zupełnie.

— Gotowa choroba...—próbowała jeszcze Sabina, ale on odrzekł krótko:

— Dałby Bóg! Z tobą żyć, to lepiej umrzeć.

XVI.

W wystawie sklepowej pomiędzy szynkami i kielbasami Sadzikiewicz umieścił następujące ogłoszenie: „Jest do sprzedania skład wędlin w miejscu pryncypalnem, z klientelą wyrobioną i na bardzo przystępnych warunkach.“

Wywołało to w Bąkach ogólne zdumienie.

— Fumy pańskie w głowę zajechały — mówiono.—Już się handlu wstydzi...

— Zbogacił się na wieprzach, może teraz pałace będzie budował.

Mordalski osłupiał, gdy go wieść o tem doszła. Pobiegnął do Sádzikiewiczów.

— Zwaryowałeś, stary! — rzekł mu wręcz, do czego przyjaźń wieloletnia upoważniała. Grosz rychno przejecie, a potem na łaskę może do zięciaszka pójdziesz...

Sádzikiewicz kręcił się, jak mucha w ukropie.

— Już mi się handel sprzykrzył — usprawiedliwiał się zmieszany. — Wołałbym folwark jaki kupić. Czas odpocząć.

Mordalski śmiechem wybuchnął.

— Folwark? Masz ty o gospodarstwie pojęcie? Ty, albo twoja żona? Straciecie na głowę, zobaczysz, Adamie—perswadował.

— Niechże pan ojcu odwagi nie odbiera—wtrąciła niechętnie Jadwiga. — Zresztą, rzecz to już postanowiona, że się na wieś przenosimy.

Wtem weszła Krystyna rozlewać kawę.

Mordalski spojrział na nią i zdumiał się.

— A z tobą co się stało? Jezus, Marya!

Dziewczyno, jakże ty wyglądasz! — zawołał, chwytając ją za rękę. — Czyś chora?

Krystynę do chrztu trzymał i lubił ją bardzo.

Dziewczyna uśmiechnęła się blade.

— Zdrowa jestem—odparła.

— Ej, coś ukrywasz przede mną, panienko—pogroził jej Mordalski, a Sádzikiewicz dodał:

— Korpusy w tym wieku często na bladaczkę chorują.

Krystyna łzy przelknęła.

— Może ci Bąków żal?— wypytywał Mordalski, bystro się w nią wpatrując.

— Ludzi w Bąkach... szepnęła i wyszła.

— Romansów jej się zachciało — niepewnym głosem mruknął Sádzikiewicz.

Mordalski popatrzył, splunął i nie żegnając się, poszedł.

W parę tygodni potem, niejaki Szulc stał się właścicielem sklepu Sádzikiewiczów. Za sklepem poszła i kamienica. Mówiono ogólnie, że Sádzikiewicz ze stratą sprzedał, tak mu pilno było wycofać się z interesu.

Jak tam w istocie rzecz pokierował, niewiadomo; Sádzikiewiczowie wyglądali na zadowolonych.

Pewnego dnia Sádzikiewicz powrócił do domu z wycieczki w okolicę, podjętej w celu nabycia kilkunastu włókowego folwarku. Minę miał rozpromienioną.

— Żono, Brygisiu!— wołał, ledwo we drzwiach stanawszy — taki korpus delictus znalazłem, że, dalebóg, warto tysiączkami sypnąć. Wyobraż sobie, łąka jest, młynek jest, woda, las...

— Dobrze, dobrze, ale się rozbierz tymczasem, bo już widzę, w głowie ci się pali...

— Będę się asekurował, kochasiu i ciebie i nasz majątek i twoje korpusy...

Śmiał się ukontentowany. — O, Dyrdyński ma nos! Ma bestya! Zobacz no w torbie, Brygisiu, jakie to tam produkty na tej naszej wsi się rodzą. Kartofle jak kocie lby, buraki jak melony, orzechy nawet, panie kochający, i włoskie do tego, rarytas. Słyszane

rzeczy, żeby taki oto folwark, panie kochający, orzechy rodził! Pałacyk, jak cacko! Co to — pytam, na boku stoi? Pawilon. A tam, między drzewami? Pawilon. Tu znów nasypali gruzów i kamieni, na wierzchu kopnę jakąś postawili...

Co to za dyabeł, myślę... A Dyrdyński wnet tłumaczy: To kompas się nazywa, aby dziedzic wiedział, kiedy południe, a kiedy wieczór.

— To istotnie pański majątek... — zauważyła Sadzikiewiczowa.—A inspekty są? I kuchnia czy aby nie dymiąca, bo to na wsi...

— Brygisiu, zastanówże się... W takim folwarku inspektów nie byłoby? Wszystko jest, czego dusza zapagnie.

A kuchnię masz w oficynach, żeby oto, panie kochający, swędy do pałacu nie szły...

— A ziemia jaka, ojczcze?—spytał od niechcenia. Konstancy.

Sadzikiewicz się zamyślił, a potem rzekł wymijająco:

— Wszystko rodzi, taka pocziwa, panie kochający. Pszenicę, żyto, kartofle, orzechy... Zresztą, to już Dyrdyńskiego rzecz; dobrze on ją wymaca.

— Czy też sąsiedzwa są przyjemne? — spytała, puszczając się, panna Jadwiga.

— Są, a jakże! W Grzybowej Woli dziedzic kawaler, leciwy, w sam raz...

Pistulińscy przyjechali — zawołała patrząc w okno p. Jadwiga.

Sadzikiewicz uradowany witał zięcia i córkę.

— Dobrze, żeście przyjechali... — mówił pomagając zdjąć Sewerynowi palto.

— Dopierom co z Łaręcina wrócił.

No, powinszujecie mi, interes, panie kochający, ubilem. Fiu, jaki interes! kokosowy! Powiadam wam, co to za majster z tego Dyrdyńskiego... Coś mi się widzi, że okpił szlachcica na moją korzyść.

Żeby tylko ojca nie okpił... odezwała się Pistulińska.

— Ileż ojciec zapłacił?—spytał Seweryn.

— Po dwa tysiące rubli włóka — tryumfująco wykrzyknął stary. Dyrdyński targował się, jak żyd.

— Szachrował—mruknął Seweryn.

Łaręcin nie wart więcej niż po 1,200 rs. włóka.

Ziemia kiepska, kąt zapadły... Szkoda, że ojciec się mnie nie poradził pierwej...

— Chciałem wam niespodziankę zrobić... Ale kto ci też panie zięciu plotek nagadał... Ziemia, panie kochający, taki delictus, że niech się Pistuliń schowa.

— Co ojciec wygaduje... obraził się Sewer.— Łaręcin z dawna złą opinię ma. Nędzota! I na hipotece ciężary były.

— Ale powiadam ci, jakie budynki, jaki pałac, ogród... Dyrdyński mówi, żeby tam bażantarnię założyć i rybołówstwo. Z samych ryb—powiada—można mieć z 5,000 rocznie. Sadowek, panie kochający, bez liku.

Sewer zamyślony chodził po pokoju.

— Zdaje mi się—rzekł po chwili,—że ojciec się za pośpiesznie zaangażował.

— Lepiej było coś mniejszego, a pewnego kupić... wtrąciła, bawiąc się bransoletą, Pistulińska.

— Oczywiście. Ale z ojcem zawsze tak... zaczęła Sádzikiewiczowa.

Całemu światu obedrzećby się pozwolił. Mówiłam, że Dyrdyński oszust, że okrada kogo może, okłamuje... Ale bo to ojciec chciał wierzyć...

— Niechże mama pozwoli—sucho przerwał Sewer.—Doprawdy trudno dojść do słowa. Jak we mynie, dalibóg!

— U nas zawsze tak! — z uśmiechem zaśpiewał Konstanty. A Sewer ciągnął dalej z powagą:

— Jabym nigdy tego majątku nie kupił. Z tem będzie miał ojciec kłopot duży. Niech ojciec nie myśli, że gospodarstwo to jest nic... Ciężary są niemałe. Na podatki, na Towarzystwo, na zapłacenie służby, wyżywienie inwentarza z takiego, jak w Łaręcinie, gospodarstwa, się nie wyciągnie... Ojciec co rok będzie dokładał. I sporo; zobaczy ojciec.

— Dyrdyński mówił, że w razie czego, to i Towarzystwo, gdy się spłaci zaległości, nową pożyczkę da.

— Da. Ale pierwiej ojciec hypotekę ureguluje... A zabazgrana porządnie. Nim ojciec wierzycieli spłaci..

Wielka rzecz, spłaceć! — odparł z dobrą miną Sádzikiewicz. Siano Łaręcińskie spłaci. Wiesz że ty, panie zięciu, że ja tam trzynaście włók mam łąk, słicznych łąk... Siana w bród. Dyrdyński mówi, że się

w niem, jak w pszenicy, schować można. I prawda. Step, powiadam wam. A taki korpus dobrze płaci. Podał zięciowi cygareto, a przed Pistulińską rozłożył na stole przywiezione na pokaz orzechy.

— Poproś matki, Sabciu, to ci spirytusem orzechy zielone naleje i będziesz miała wódkę, że tylko buzi dać... Śliczności orzechy!

— Kożuchowicz idzie — oznajmił stojący przy oknie Kostek.—Ale gdzie to Kryśka? Ani się pokaże, choć wie, że Pistulińscy przyjechali.

Pokręcił się po pokoju i wyszedł.

— Więc rodzice pozwalają bywać Kożuchowiczowi? — spytała zgorziona Pistulińska. Myślałam, że się to nareszcie zerwało.

— Oudo Jaworzewskich poszedł...—odezwała się Jadwiga.

— Trzeba więc było Krysię od Jaworzewskich odsunąć. Kazia, chcąc się przypodobać Kożuchowiczowi, schadzki im ułatwia, a jak Krysia nie widzi, sama z nim romansuje.

— A ty, słodka duszo, zawsze się musisz do Jaworzewskiej przyczepić...—rzekł, uśmiechając się szyderczo, Seweryn. — Szkaradne wy jesteście, baby! Byle twarz gładza, już jedna drugiej wrogiem.

U Jaworzewskich tymczasem rozprawiano żywo; Kożuchowicz rozpaczal, dowiedziawszy się o wyjeździe Sádzikiewiczów, rozpaczala Krystyna.

— Panno Krystyno! — prosił, ściskając ręce dziewczęcia. — Musi pani stanowczo się zdecydować ja, albo rodzice! Po co mękę przedłużać!

Krystynę ogarniała rozpacz.

— Czy ja mogę, czy ja wiem!... — szeptała niezdecydowana. Jakże się woli rodziców przeciwiać... O, mój Boże, mój Boże!

Wybuchnęła płaczem, Koźuchowicz zbladł.

— Krysiu, czy jabym mógł żyć bez ciebie. Zastanów się.

Cheiał ją ku sobie przyciągnąć, lecz odsuwała się wylekła.

Jaworzewska ocierała łzy ukradkiem, Kazia ujęła przyjaciółkę w objęcia.

— Moja ty biedna, moja kochana! — mówiła z uczuciem. Lepiej istotnie skończyć tak lub owak, bo za wiele cierpicie oboje.

— Skończyć! — zdecydował Jaworzewski. — Niech panna Krystyna wybiera. Gdzie serce pociągnie, tam trzeba iść.

Krystyna odsunęła lekko Kazię od siebie. Widać było, że walczyła z sobą i że ją ta walka dużo kosztuje. Wreszcie rzekła:

— Zdawało mi się, że łatwiej mi będzie rodziców porzucić, teraz widzę, że popełniłam grzech i — i — panie Stanisławie! — wybuchnęła z płaczem, zwracając się nagle do Koźuchowicza — niech mnie pan nie namawia, niech pan nie prosi...

Nie pójdę nigdy zamaż, ale i przeciwko woli rodziców żoną pana nie zostanę. O, panie Stanisławie, drogi, kochany, tak mi żal... żal!

Zachwiała się i Koźuchowicz schwycił ją w objęcia, bo pewnym był, że zemdleje, taką błądząco śliczną jej twarz się okryła.

W tem drzwi uchyliły się lekko, w progu ukazał się Sadzikiewicz z zaperzoną małżonką i wpadł na środek pokoju, chwytając za ramię Krystynę, gdy Sadzikiewicz owa rzuciła się do Jaworzewskiej.

— To pięknie, to po sąsiedzku! krzychała, ile głosu starczyło. Jezus, Marya! Jak się też państwo Boga nie boicie! Do występku drogę młodym ułatwiać. Śliczny przykład dla córeczki. Wstyd, hańba, rozpusta! Niech was Bóg skarze za naszą krzywdę!

— Co pan robisz, co to jest? — wołał tymczasem Jaworzewski, odciągając od Krystyny Sadzikiewicza. — Niech że ją pan puści. Jak Boga kocham, żeby też ojciec rodzony tak dziecko poniewierał...

Koźuchowicz trząsł się, jak w febrze, lecz Krystyny nie puszczał.

— Niech pan ustąpi — mówił przez zaciśnięte zęby. Panna Krystyna nie jest dzieckiem, żeby ją różgą karcić trzeba.

Różga nader przyjemnie uderzyła słuch Sadzikiewicza. Więc zawołał:

— Różgą siec nieposłuszne dziecko, a tobie chłystku kije dać, żebyś miał pamiątkę nie zakradać się do cudzego gniazda, jak złodziej.

Koźuchowicz puścił Krystynę. Żyły mu na skroniach nabrzmiały, zęby szczykały, jak u wilka.

— Niech pan cofnie te słowa zaraz, natychmiast! — zaczął groźnie, lecz jednocześnie dłoń czyjaś zaciężyła mu na ramieniu. Kochanek jego dziewczyna stała tuż przy nim, ale jakże zmieniona. W oczach jej nie było łez ani smutku; patrzyła na rodziców śmiało, ściskając dłoń Koźuchowicza.

Po chwili odezwała się głośno i dobitnie:

— Niechże rodzice gniewu do mnie nie czują, bo sami winni, że się na życie całe panu Kozuchowiczowi teraz oddają. Jeszcze przed godziną wyrzekłam go się dla was i wołałam grób sobie gotować, niżeli woli waszej się przeciw. Ale muszę teraz krzywdę, wyrządzoną przez rodziców nagrodzić.

Umilkła, bo głos jej drżał, i mówić prawie nie mogła.

Sadzikiewiczowa słuchała w osłupieniu, Sadzikiewicz wpadł w wściekłość.

— Ja cię rozumu nauczę!—wołał.—Niegodziwe dziecko, wyrodne! Chociażbyś mi u nóg leżała, nie pozwolę ci za tego—tego.

— Niech pan nie kończy—surowo przerwał Kozuchowicz. Mógłbym zapomnieć, że Krystynę kocham!

Sadzikiewiczowa uznała za słuszne pociągnąć męża za rękaw.

— Co się będziesz irytował, Adamie, — rzekła uspakajająco. Zamknąć dziewczynę w domu o chlebie i wodzie, to jej się kochania odechce.

Brutalne postępowanie rodziców podniecało upór Krystyny.

— Niechże się rodzice zastanowią, żem ja już pełnoletnia i gdy o szczęście całego życia chodzi, bronić się potrafię—odezwała się z powagą.

— Wydziedziczę, grosza nie dam! — krzyknął ojciec.

Krystyna spojrzała na Kozuchowicza. On—zda się, urósł w górę i obejmując ramieniem Krystynę, rzekł dobitnie:

— Nie trzeba mi twoich pieniędzy, Krysiu. Grosza nie wezmę.

— To i dobrze. Obejdziecie się i bez błogosławieństwa rodzicielskiego, zakończył uspokojony nagle Sadzikiewicz.

Stanął mu w myśli Łaręcin i przyznać w duchu musiał, że mu ten obrót rzeczy wcale pomyslnie wypadł.

A Sadzikiewiczowa, zadarłszy nosa do góry, dodała:

— Poczciwe dzieci się wyposażą:

Nie patrząc na córkę, zabrali się oboje do odwrotu.

— Ukaralem zuchwalca, chwalił się potem stary Pistulińskim. Korpus, panie kochający, będzie teraz łapę lizał.

Z pewnością romansów mu się odechce—wtrąciła ucieszona Jadwiga.

— Kryśka z posagiem, a bez posagu to różnica!

— Weźmie ją i bez posagu — rzekł Pistuliński. Krysia ładna i poczciwa; takie się i bez pieniędzy bierze.

Pistulińska udala, że nie słyszy.

— Czy ja się spodziewałam, że Krystyna taki nam wstyd uczyni—mówiła podrażniona. Wstyd dla Sewera!

Co ludzie powiedzą? Sewer, bój się Boga, i ty to znosisz tak spokojnie!..

Seweryn stał przy oknie, pogwizdując.

Myśli jego uciekały do Kazi Jaworzewskiej i do

cichego szczęścia, jakie utracił. Zazdrościł Kożuchowiczowi energii i odwagi. On się nie lękał przyszłości z ubogą Krystyną, bo sam umiał ją wywalczyć.

XVII.

Od dnia tego na Krystynę nikt w domu nie zważał. Siadała przy wspólnym stole, łykając nieraz łzy, ale z niezłomnem postanowieniem wytrwania przy swoim.

Sadzikiewiczowa więcej ze względu na ludzi niżeli z popędu serca, oddała córce przeznaczone do wyprawy srebra i płótna.

— Tyle masz, co i każda, chociaż nieczego nie warta... powiedziała, gdy Krystyna całowała jej ręce.

Oznaczono dzień ślubu na ósmego stycznia, poczem Sadzikiewiczowie opuścić mieli Bąki i przenieść się do Łaręcina.

Mordalski, uproszony przez naczeczonych, wybrał się z misją do zagniewanych rodziców.

— Nie będę ci czynił wyrzutów... — rzekł zaraz na wstępie do Sadzikiewicza, bo od tego jest sumienie, które ci już haniebny względem dziecka postępek głośno wyrzuca. Tego jestem pewny. Chcę ci tylko przedstawić, czy nie lepiej byłoby, pojechać ze ślubem do Częstochowy. Unikniecie kosztów z we-

selem i ludzkiej gadaniny. Już i tak plotą niestworzone rzeczy.

— Niech plotą. Od tego korpusy języki mają... śmiał się rubasznie Sadzikiewicz.

— Łaręcina mi zazdroszą...—dodał, mrugając przebiegle okiem.

— Przypuścmy. Ale cóż powiesz na mój projekt?

Sadzikiewicz się zamyślił.

— Koszt dużo mniejszy—medytował. No i dla honoru Pistulińskich i Łaręcina niechby ten stolarz jak najdalej od Bąków ślub brał z tą waryatką. Ludzie czego nie widzą, prędzej zapomną.

Udawał jednak, że się waha.

— Kłopot będzie, panie kochający, — mówił krzywiąc się. Nie wiem, co żona powie, Pistulińscy... Ale Mordalski, znając go, wiedział, że się zgodzi.

Jakoż niedługo jak grom z pogodnego nieba, uderzyła w Bąkowień wiadomość, że dnia tego i tego w Częstochowie na Jasnej Górze pobłogosławiono związek małżeński między młodymi, a w kilka dni potem, młoda pani Kożuchowiczowa powróciła do Bąków, świeża, jak najdojrzała malina, i szczęściem rozpromieniona.

W parę tygodni potem Sadzikiewiczowie opuścili Bąki.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.